Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 4. Lipca 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 27.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

W SPRAWIE INTERNATÓW.

Poseł Paweł Popiel złożył do laski marszałkowskiej wniosek, żądający założenia internatu dla uczniów seminarjum nauczycielskiego we Lwowie.

Pan Popiel jest czystej krwi Stańczykiem, fanatycznym reakcjonistą i postępowcy z nieufnością muszą poglądać na wszelką jego działalność, chociażby w najlepszych zamiarach prowadzoną. *Timeo Danaos et dona ferentes...*

Przedewszystkiem więc zapytujemy siebie dla czego ma być we Lwowie założony taki internat, tego rodzaju koszary, w których zwykle panuje zaduch moralny? Czy może wskutek swobodnego i nie przygnębionego życia po za szkołą przyszli kierownicy ludu stawali się co raz bardziej niezależnymi, zaczęli poczuwać jaką są potęgą, jak wiele od nich zależy i nie zechcieli już dalej uginać się pod wolą i rozkazami koterji?

Zdaje się, że w tem właśnie mieści się esencja rzeczy.

Chodzi o to, ażeby pod pilnym i ścisłym nadzorem, w warunkach przepisanych konwencjonalną moralną hygieną, wychowywać młodzież i tak ją urabiać, tak kierować, żeby potem posłuszną była każdemu skinieniu z góry.

Nie zawsze to się udaje, *vide* moskiewskie internaty, które są ogniskami agitacji, ale zawsze napawa kierowników pewną nadzieją, że zręczniej się wziąwszy do rzeczy, potrafią zaszczepić choć w części swoje zasady.

Jesteśmy przekonani, iż wniosek p. Pawła Popiela kryje w sobie takie śliczne nadzieje... Nie wiemy jednak zupełnie jakich argumentów krakowscy „reformiści“ używać będą w celu zdobycia przychylności sejmu. Czy się u nas we Lwowie stało coś nadzwyczajnego między seminarzystami, czy knowali rewolucję, czy spiskowali z socjalistami? Dotychczas nie — i tak mało tam jest jeszcze życia między nimi, że wolelibyśmy, aby coś zawsze wyznawali, aniżeli, żeby byli zupełnie obojętnymi na wszystko Nie ma więc żadnej potrzeby zapobiegania jakichś katastrof, bo nic ich jeszcze nie zapowiada.

Natomiast fatalnem w skutkach innego rodzaju byłoby zaprowadzenie internatów. Oderwanie młodzieży od świata, od życia obywatelskiego, odsunięcie ich od zwykłej walki życiowej, w której świat poznawać się uczy, i to w chwilach życia najpełniejszem bijących tętnem, wyrabiałoby z nich indiwidua bez własnego zdania, wychodzące potem wprost do wykonania wielkiego swego dzieła, a nie znające praktycznie stosunków życiowych.

Z zamkniętych ścian internatu wyrzuceni, byliby oddani w wir życiowych stosunków nieznanych im z bezpośredniego zetknięcia, a tylko z książek i opowiadań nauczycieli. Czuliby się zupełnie obcymi wśród nowych stosunków. Że to zgubnem by było — nie ulega wątpliwości i dowodów historycznych możnaby na to dostarczyć dowoli.

A przytem pamiętać należy, jak wielkiem jest zadanie nauczyciela wiejskiego i jak olbrzymia przed nim leży praca. Nauczyciel taki winien przedewszystkiem być dobrym obywatelem kraju, znać obowiązki obywatelskie, aby ten lud, od którego rozwoju bądź co bądź przyszłość nasza zależy, mógł być przez niego prowadzony i aby obok nauki czytania, pisania i rachowania mógł jeszcze urabiać z nich ludzi w całem znaczeniu tego słowa. A jeśli on siedział zamknięty i oderwany od świata, to gdzież mógł wyrobić sobie poczucie obywatelskich obowiązków, kiedy nie mógł jeszcze ich sam wykonywać praktycznie?

Jesteśmy więc z tych powodów jak najmocniej przeciwni założeniu takiego internatu we Lwowie, który ani jest potrzebnym jako środek zabezpieczający, ani też wskazanym pod względem podniesienia stanu moralnego nauczycieli.

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

I.

Nieznajoma.

Smutnym był pozór łanów polskich w roku pańskim 1674. Role odłogowały. Odłogowanie dziwny jakiś nosiło na sobie charakter — charakter opuszczenia, zaniedbania, zrzeczenia się plonów pożytek niosących dla bujnych chwastów i burzanów, które okiem nie objęte zalegały obszary. Pierwsze ustąpiły miejsca drugim, jakby wskutek walki pomiędzy pierwiastkiem dobrego a złego, zakończonej tryumfem tego ostatniego. Chwasty rozsiadły się szeroko istnemi lasami, złożonemi z roślin rozmaitych, pomiędzy którerni królował bodiak o zawoju czerwonym, grubopienny, gałęziami rozramieniony, szorstki i twardy. Bodiak odegrywał rolę dębu. Obok niego bujało chwastów mnóstwo, przedstawiających kolor zielony, w odcieniach rozmaitych, od bladego zaczynając, na ciemnym kończąc. Czerwonemu zawojowi ukraińskiego kaktusa odpowiadały kielichy, dzwony i kity, zabarwione na biało, na fioletowo, na brunatno, na pomarańczowo, na żółto. Żółtej barwy było najwięcej, wyskakiwała ona najwyżej i rzucała się w oczy najbardziej, pochodząc od smukłych dziewann od góry do dołu kwieciem oblepionych, stojących niby na straży w szyku, znaczącym się kwadratowo. Zdawało się, jakoby ręka ludzka umyślnie przestrzenie niezmierne obsiewała brzegami dziewanną, dla jakowegoś celu tajemniczego, nadając obsiewaniu owemu kształty mniej więcej regularne. Żółte szeregi ciągnęły się długo,

przypatrując się zaś onym dostrzegać się dawała w miejscach niektórych podwójność, uformowana w ten sposób, że szereg jeden zbliżonym był do drugiego na odległość kroków kilku i pomiędzy niemi ciągnął się smug trawy, takiej samej jak ta co rośnie na stepach. Przypatrując się zaś jeszcze pilniej, dostrzegać się dawała ta osobliwość, że przestrzenie chwastami zarosłe przedstawiały się pod postacią ról zaodłogowanych; smugi zaś trawą okryte miały grunt twardy, dziewiczy, lemieszem nie tknięty i szły śród dziewann w liniach długich, załamujących się pod kątami prostemi. Dziewanny spodem podszywała tak zwana *owsiuha*, gęsto porastająca krajami, dalej zaś ustępująca miejsca pojedyńczo lub kępkami sterczącym pośród burzanów kłosom żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, których obecność w tym chwastów tłumie zdziwienie sprawiała.

Przestrzenie burzanami okryte, były to łany zapuszczone, smugi trawą porosłe — suglówki.

Na polach wiało pustką, którą smętnym jakimś kolorytem powlekała pora jesienna, acz pogodna. Zaludnienia nie znać było wcale; jedyny onego objaw stanowił szlak szeroki, przerzynający się środkiem pól opuszczonych i dymiący kurzawą przez lada wietrzyk wzbijaną. Obok szlaku, tu i ówdzie, wznosił się kopiec, tu i ówdzie sterczał krzyż drewniany. Zresztą pustka. Stanąwszy zaś na kopcu i obejrzawszy się dokoła, siniała dal, a w niej majaczyły lasy, utopione jakby w mgle szafirowej.

Stańmyż na kopcu i obejrzyjmy się dokoła.

I pusto, i cicho, i smutno, a tem smutniej, że widzisz iż życie tu istniało przed czasem niedawnym, lecz nagle ustało.

Idź w burzany, szukaj życia, tam je znajdziesz, i to, nie tylko pod postacią bezpiecznie przechadzających się kuropatw, spokojnie wylegającego się zająca, niedbale myszkującego lisa, lub też rozwalonego w cieniu wilka, ale pod postacią ludzi, ludzi pracujących.

Było ich dziewięcioro: sześć kobiet, trzech mężczyzn. Troje z nich wyglądało z waszecia, a mianowicie, siwy jeden jegomość w podszarzałym z założonemi za pas połami żupanie i dwie jejmości w czepcach, w kacawajach i w spodnicach perkalowych, jedna stara, druga w sile wieku niewieściego. Reszta, dwóch mężczyzn i pięć niewiast, wydawało ubiorem ludzi należących do klasy wieśniaczej. Mężczyźni byli to dziadowie, kobiety przedstawiały rozmaitość pod względem wieku, idącą od lat ośmnastu—dziewiętnastu, malujących się na postaci dziewczyny jednej czarnobrewej, szykownej a przystojnej, do lat sześćdziesięciu, które dźwigała na sobie najstarsza śród wieśniaczek.

Cóż ludzie ci w burzanach robili?

Zajmowali się zbiorem zboża padalicznego. Każdy z gromadki tej miał na sobie przewieszoną przez ramię torbę, do której, zrywając kłosy żytnie i rozcierając takowe w dłoniach, czyste zsypywał ziarno. Wśród żyta trafiał się i jęczmień i owies. I to także szło do torby, ale nie do każdej. Jęczmień i owies zbierało osób parę, które zato kłosów żytnich nie zrywały, zostawiając je innym.

Robocizna ta odbywała się w cichości i spokoju. Robotnicy rzadkim szeregiem, pojedyńczo rozsypani, idąc w zygzaki, posuwali się powoli ku szlakowi, z którego, wpatrując się pilnie w przestrzeń burzanami okrytą, widać było kiedy niekiedy głowę ludzką, podnoszącą się do góry i spoglądającą uważnie wzdłuż traktu, ciągnącego się w kierunku słońca, od wschodu na zachód. Przedmiotem osobliwej uwagi ich była strona zachodnia, ta mianowicie ku której chyliło się słońce, którego ukośne promienie wzrok raziły, tak że spoglądający musieli sobie oczy dłoniami przysłaniać. Spoglądali uważnie, jakby czegoś ztamtąd wyczekiwali. Stary szczególnie jegomość, zajmujący w szeregu skrajne prawe skrzydło, zwracał na szlak baczenie, w momentach zwłaszcza gdy się na takowym tuman kurzawy wzbijał. W chwilach takich nie tylko wzrok wytężał, lecz i słuch nastawiał, i gdy się przekonywał, że tuman jest wiatru następstwem — mówił sam do siebie:

— Nie jeszcze... A przecie, jużby z powrotem ciągnąć powinni...

Rzekłszy to, brał się napowrót do roboty.

Toż samo, o jakich sto kroków na lewo od niego zrywający kłosy dziad czynił. I ten baczenie na trakt zwracał, roboty sobie nie przerywając.

Nagle, jegomość i dziad głowy razem podnieśli, czoła zmarszczyli i przez chwilkę nasłuchiwali.

— Hm... — mruknął jeden i drugi z tym akcentem, który oznacza niepewność.

Po chwili znów obydwa razem postawę nasłuchującą przybrali. Dziad zmarszczył się i głową wstrząsnął, a roboty nie zaniechując, zbliżać się powoli począł ku szlachcicowi, który ze swojej strony, ku niemu się zbliżał. Po niejakimś czasie zeszli się. Gdy się znajdowali o kika jeden od drugiego kroków, znów się wyprostowali i słuchy natężyli:

— A co, jegomość?... — zagabnął dziad.

— Słyszysz?... — zapytał jegomość.

— Ono w tej niby stronie... — rzekł dziad, palcem przed siebie ukazując.

— Hm?... — mruknął szlachcic i iść począł we wskazanym kierunku.

Dziad uczynił to samo. Nie uszli kroków kilkunastu, kiedy o słuchy ich obiło się wyraźne jękliwe stękanie, połączone z wymawianiem wyrazów pojedyńczych, znamionujących wzywanie Boga. Przyspieszyli chodu i zrobiwszy jeszcze kroków kilkanaście, znaleźli się w obec leżącej w burzanach niewiasty, znajdującej się w najopłakańszem, jak tylko wyobrazić sobie można, położeniu. Odzież na niej, bogata i wykwintna, zakurzona, zabłocona, i podarta, zaledwie ją okrywała; nogi bose i pokaleczone; na głowie chusta z grubego płótna, okrywająca bujne płowego koloru warkocze, skudłaczone i bodiakami nabite; twarz blada, wychudła, a delikatna; oczy duże, zaognione; usta spieczone.

— O Boże!... — westchnęła, gdy szlachcica i dziada nad sobą ujrzała.

— Niech będzie pochwalony... — odezwał się pierwszy.

— Wody... och!... wody... — odrzekła.

Dziad się wnet zwrócił i składając w trąbkę dłonie przy ustach — zawołał:

— Kuku!...

Zawołał trzykrotnie. Przysiągłbyś, że to kukułka kuka i tylko byłbyś zdziwiony, zkąd się wzięła ona w burzanach w niewłaściwej roku porze.

Zaledwie kukanie dziada przebrzmiało, aliści pojawiać się poczęli robotnicy, przychodząc pospiesznie. Najpierwsza przybiegła dziewczyna czarnobrewa. Dziad do niej:

— Pokwap-no się, Nastko, z wodą!...

Dziewczyna oddaliła się wnet.

Po niej przyszła jedna z dwóch szlachcianek i natychmiast obok leżącej na ziemi przysiadła. Po tej przyciągnęła baba i uczyniła toż samo.

Leżąca na ziemi odezwała się:

— Wody... ach!... wody...

— Poszła już Nastka... — była szlachcianki odpowiedź. Nie widać jak powróci i wody przyniesie...

— Ach!... — stęknęła kobieta.

Robotnice ją tymczasem otaczały, ze współczuciem na nią patrząc. Wkrótce przybiegła dziewczyna, niosąc w ręku tykwę, zwitkiem z trawy zatkniętą. Na widok tykwy, kobieta podniosła się, ramiona wyciągnęła i oblicze uśmiechem pożądliwości oblała.

— Niech jeno nie pije na raz... — odezwał się dziad.

— Niech chlebem zakąsza... — dodał szlachcic stary.

Po słowach tych, szlachcic, dziad i wszyscy robotnicy odeszli, z wyjątkiem starszej z dwóch szlachcianek, która przy nieznajomej pozostała i łagodnem do niej przemawiała słowem. Zrazu chodziło o to tylko, ażeby zastosować się do rady szlachcica i dziada, która się nieznajomej nie podobała.

— Wody!... — wołała sięgając po tykwę, wody!... Pali!...

Szlachcianka broniła jej pić dużo na raz jeden.

— Nie można, serce... — mówiła — nie można, duszko... Przekąś i napij się...

Podawała chleb razowy, który nieznajoma odpychała; dała się jednak przekonać. Chleb wodą zapijała. Piła z łapczywością, którą w niej szlachcianka moderować usiłowała.

— Zaszkodzić ci to może... — perswadowała.

— Kiedyć mnie pali... pali! — była nieznajomej odpowiedź.

— Właśnie też... spragnioną jesteś zbytecznie...

— Och!... pali... pali... piecze...

— I zgłodniałą również być musisz... — odrzekła szlachcianka ze spółczuciem.

— Ach!... — odparła nieznajoma.

— Zdaleka Pan Bóg prowadzi?...

— Czy zdaleka?... mój Boże!... — odparła zapytana, obcierając sobie dłonią oczy, jakby dlatego, ażeby widzieć jaśniej.

O! zdaleka... Lwów... Tarnopol. Wody!... — rzekła prośby tonem — choć kropelkę...

— Przekąśże chleba kawałeczek... — odpowiedziała szlachcianka.

Nieznajoma zjadła kawałek podanego jej chleba, pociągnęła z tykwy haustów kilka i teraz dopiero podziękowała.

Podziękowawszy, dłonie złożyła, jak do modlitwy.

I modlić się poczęła po cichu. Szlachcianka głowę spuściła.

Po chwili nieznajoma, westchnąwszy z głębi piersi, zaczęła:

— Oto drugi dzień już, biegnę bez pamięci... nie wiem dokąd... Od dni dwóch nie widziałam człowieka żadnego... Gdzie jestem?...

— Jesteś... — odpowiedziała szlachcianka z zakłopotaniem niejakiem — jesteś... u ludzi, co ci szczerem sercem pomocną podadzą rękę...

Nieznajoma westchnęła, błędnem okiem w koło zatoczyła i udźwignąć się chciała. Lecz siły jej nie dopisały. Zachwiała się i pochyliła w objęcia szlachcianki, która ją do siebie przygarnęła, tuląc, niby córkę własną.

— Słaba jesteś i znużona...

— Wstać nie mogę... Chciałabym iść dalej...

— Dokąd?...

— Nie wiem... Potrzeba mi iść... uciekać... uciekać... Ach! — zawołała w końcu głosem przerażenia.

— Nie lękaj się... Nie masz się obawiać czego...

— Tatarzy!... Tatarzy!... Czy Tatarów w stronie tej nie ma?...

— Nie ma ich obecnie... nie widać... Przewaliła się ta nawałnica...

— O!... niewiasto dobra!... — zawołała nieznajoma głosem błagalnym — nie odstępuj mnie... Byłam sama przez dni dwa... sama jedna... Jakże to ciężko być samą!... Chcę wstać... iść... uciekać...

Plątanina w mowie poznać dała jejmości, że nie dopyta się o nic; nie rozpytywała więc, a tylko usiłowała wpłynąć na nieznajomą w sposób uspokajający.

— Bądź spokojną... — mówiła. — Tatarów tu nie ma... Jeżeli pokazują się, to na szlaku... przeciągną i do nas nie zaglądają... Do nas nie zaglądają, bośmy osiedli na ustroniu i oni drogi do futoru nie znają... Jegomość przytem ma baczenie... do futoru ztąd niedaleko... Niezabawem, jak ino słonko zachodzić pocznie, zejdziemy z pola i ciebie zabierzemy z sobą... Bądź spokojna i dobrej myśli...

— Tak stara jejmość przemawiała do kobiety, która pozostawała w stanie obłąkania, pochodzącego nie z utraty równowagi umysłowej, ale z wyglądającej jej z oczów i z postaci całej gorączki. Ogniem od niej niosło. Jejmość otulała ją, przemawiała do niej, aż nadszedł jegomość i zapytał:

— No i cóż?...

— Zdaje się — odrzekła — że ona nie dojdzie sama... Paniątko jakieś... znękane, biedne i zbiedzone... Nie można się jej dopytać, zkąd i jak?...

— Ph!... — odparł jegomość. — Zkąd i jak... o to mniejsza... Jak jaskółka powrót wiosny, tak ona powrót nawały tatarskiej zapowiada... Ani chybi, wymknęła się z czambułu, który nie dziś to jutro zawita w te strony... zabierajmyż ją i do domu chodźmy...

— Chodź, lubko — odezwała się do niej szlachcianka. — Wstań... chodźmy...

— Ha?... co? — zapytała. — Wojewodzina?

I ręce wyciągnęła.

— Wojewodzina?... ha?... Czy to ty, Prokopie serce?... Poczekaj trochę... Gdzie ta flaszeczka z wodą święconą? gdzie?... Chrzczę ciebie... chrzczę ciebie... a!... imię!... imię chrzestne! wojewodzina...

Szlachcic stary patrzał, głową pokiwał i rzekł:

— Nieprzytomna: w malignie biedaczka bredzi...

— Bredzi... — szlachcianka na to. — Ale jak ona na futor zajdzie?

— A no... Jak zajdzie?... Juźci, rzucać jej nie godzi się... Zaprowadzimy...

Odwrócił się, dłonie w trąbkę przy ustach złożył i zakukał.

Na kukanie to, zeszli się niebawem robotnicy i robotnice wszystkie i udecydowanem wnet zostało odprowadzenie, w potrzebie zaś odniesienie nieznajomej. W zastosowaniu, to ostatnie jeno możliwem się okazało. Kobieta, na nogach postawiona, utrzymać się na takowych o sile własnej nie mogła. Nie mogła też i iść, na kimś wsparta. Podstawiały się jej Nastka i druga dziewczyna, podstawiały się mołodycy. Po próbach, które się daremnemi okazały, skończyło się na tem, że ją najprzód jegomość wziął na plecy, następnie jegomościa zluzował dziad jeden, tego zaś dziad drugi, którego znów wyręczył jegomość. Każdy niósł staj parę, uginając się pod ciężarem, który nie był zbyt ciężkim, ale na barki młode. Starcy nużyli się, dźwigali jednak i dawne dzieje przypominali jeszcze.

— Ej ha!... — odezwał się z dziadów jeden — żeby mi tak lat ze trzydzieści z bark ubyło, tobym z wyskokiem niósł tę panią młodą...

— Ja bo taki nosił, jakiem był młodszy — odezwał się drugi — ale to temu już dawno, dawno... jak jeszcze Chmielniczenko pod Zbarażem stał i kniazia Jaremę szturmował, a my po miastach ta po siołach plądrowali. Hej ha!... otóż to czasy były...

— He, he — odparł pierwszy. Czasy... czasy... Była pilawiecka... przeminęła;... była berestecka... przeminęła... Było się i na wozie i pod wozem... Starość przyszła i ot, my dwaj, z pod Pilawic i z pod Beresteczka, znów z Lachem za jedno... i to, aż tu... na świata skraju...

Coś miał na to odpowiedzieć szlachcic stary, gdy nagle uwagę wszystkich zwrócił na siebie śpiew głośny, mężki, rozchodzący się w powietrzu. Na głos ten, niewiasty pierzchły w burzany, mężczyźni usunęli się z chorą i przysiedli nieopodal. Śpiew zbliżał się. Jeden z dziadów wstał, wyprostował się i rzekł:

— Bodajbym ogłuchł, jeżeli to nie Jurek!... Ale, co mu się stało, że śpiewa tak głośno, jakby chciał Tatarliugom dać znać, że w tej stronie ludzie mieszkają...

Dziad drugi i szlachcic podnieśli się także, wyszli nieco naprzód i niebawem doczekali się przybycia jeźdca, który jechał stępem i wyśpiewywał głośno. Gdy zoczył stojących, wnet z konia zsiadł, a zbliżając się do szlachcica starego, w rękę go pocałował. Szlachcic nad głową jego znak krzyża zrobił.

Nowoprzybyły, pod względem wieku należał do pokolenia młodego, licząc nie więcej zapewne jak lat trzydzieści; co się zaś stanu tyczy, kwesja ta rozstrzygać się dawała od oka, wyglądał bowiem po rycersku, a rycerstwo w czasach owych, w krainie, która nam za ramy opowiadania służy, tak się dawne z nowem pomięszało, że trudno było rozpoznać ze stroju i z miny, kto szlachcic, kto chłop, kto posiada antenatów szereg długi, kto rozpoczyna ród osobą własną. Młody człowiek, Jurkiem przez dziada nazwany, z miny patrzał na zucha, był dorodny, miał wąs zawiesisty i wejrzenie zuchwałe; okrywał go żupan szaraczkowy, opasany pasem wełnianym, za którym sterczał pistolet i od którego wisiała szabla zakrzywiona w pochwie skórzanej; z za plec sterczała mu rusznica, przybory do której, pod postacią rożka na proch i worka na kule, przy prawem wahały się biodrze; w ręku niósł dzidę bez proporca, którą z konia zsiadłszy w ziemię wetknął; głowę pokrywała czapka barania z denkiem sukiennem. Ta mina i ten strój mogły tak dobrze oznaczać szlachcica, jak kozaka i nie bylibyśmy w możności zdefiniować stanu społecznego, do którego Jurek należał, gdyby nie to, że starego jegomości tatkiem nazwał.

— Cóż u licha... — zagadnął ten ostatni — hałasy sprawiasz takie!..

— Jakie hałasy tatku... — odrzekł młody człowiek.

— Ano... śpiewasz na całe gardło, jakbyś nie wiedział, że Tatary mają słuch bystry.

— Wiem o tem, wiem jednak nie mniej i o tem, że słuch ich na milę nie sięga...

— Na milę... a?... Są więc w pobliżu?

— Stoją za Popieluchami... rozłożyli się na noc...

— Dużo ich?... — zapytał jeden z dziadów.

— Będzie sotni ze dwadzieścia...

— Z jassyrem?...

— Z jassyrem... Pędzą bydło i jeńców...

Ah!... — westchnął szlachcic stary i głową wstrząsnął.

— Chyba jednak — ciągnął młody człowiek — skrzydeł ptasich dostaną jeżeli się nam wywiną... Ledwie dyszą... Prawda, że i my bokami robimy... przecie, nie mając jassyru na karku, lżej nam biegnąć... Zabiegamy im na przełaj i przybywam po to właśnie, ażeby Ostapa — tu ku jednemu z dziadów głowę skinął — o pokazanie drogi poprosić pokornie.

— Hm... — odrzekł zagadnięty — czyż sam drogi nie znasz?

— Nie wyplątałbym się z pomiędzy

*

futorów, po nocy zwłaszcza... Wy dziaduniu wyplączecie się, nie tylko po nocy, ale z oczami zawiązanemi.

Pokiwał dziad głową.

— W przygodzie nam stanąć zechcecie...— dodał młody wojak prośby tonem.

—Ta... hm... Niech tak będzie... chociaż to ja — zaklął się...

— Zaklęliście się przeciwko kozakowaniu, ale nie przeciwko pokazywaniu drogi ludziom w potrzebie... Doprowadziłem komendę do lasu, co przy Rudnickim futorze...

— Czy myślisz, że oni na Czeczelnik się rzucą?

— Broń Boże! Oni pociągną Szpakowym szlakiem, ale do zajścia im na przełaj potrzeba, jak mi się zdaje, drogę obrócić mimo futorów Rudnickiego, Rozboja, no i naszego...

Dziad głową na znak potwierdzenia wstrząsnął, od czego mu czapka barania głębiej na czoło wpadła i odrzekł miarkując:

— Prawda twoja, Jurku... Tak to wypada ono... Kiedy Tatarliugi pod Popieluchami, a komenda u Rudnickiego futoru, to najskładniej czambułowi w oczy skoczyć z uroczyska Pierożniańskiego... Szlak przesuwa się tam tuż pod lasem... Ano, chodźmy śpieszniej... Jegomość konia staremu Ostapowi nie pożałuje, a Ostap nie pożałuje siebie...

— A taż pani?..—zagabnął szlachcic—interpelując w ten sposób odchodzących syna i dziada.

— Aha!.. — zawołał ten ostatni. To już Jurko chyba nas starych wyręczy...

— Albo Jurków koń... — dorzucił dziad drugi.

W słowach kilku wyjaśnionem zostało młodemu wojownikowi o co chodzi i ten natychmiast, jak skoro zoczył złożoną w burzanach, podniósł ją i na nogi postawił. Usadowienie jej atoli na siodle okazało się więcej aniżeli trudnem. Trudność pochodziła ztąd, że się trzymać o siłach własnych nie mogła. Wziął ją więc Jurek na grzbiet i poniósł.

Na drodze, do mężczyzn przyłączyły się wyszłe z kryjówek niewiasty. Ze sposobu, w jaki stara jejmość powitała młodego rycerza, z łatwością poznać się dało że wiążący ich węzeł, był to jeden z tych, co ludzi wiąże najmocniej. Jejmość przemawiała do niego »Jurku« albo »Jurasiu,« on zwał ją »matką.« Na drugą szlachciankę wołał »Elżbieto!« a z akcentu z jakim to imię wymawiał, domyśleć się było można, że pomiędzy nią a nim zachodził stosunek rodzinny. Elżbieta zapytała Jurka o jakowegoś Jana.

— I!.. odrzekł zapytany — nic mu się nie stało złego... Chorągwie hussarskie i pancerne wleką się z tyłu, z nowym królem jegomością, my zaś przodem wybiegli...

— Widziałżeś go, Jurasiu dawno?..

— Nie bardzo... hm?.. miesiąc temu, czy co. Wiem jednak na pewno że ani draśnięty... Im dowodzi imć Rzewuski, pułkownik...

— Na zimę przybędzie?...

— No... a jakże... Spodziewamy się, że do zimy, tak w Podolskiem, jak w Bracławskiem województwie tatarska i turecka na lekarstwo nie pozostanie łapa... Hrm... chrząknął, poprawiając na sobie ciężar, którego głowa spoczywała mu na ramieniu, warkocze spływały po ręku, a ręce wisiały wzdłuż piersi.

— Ciężko ci?.. — odezwała się matka, z akcentem troskliwości w głosie.

— Owa!.. — odparł młody człowiek.

— Zmęczonyś i zdrożony...

— Cóż z tego! Udźwignąłbym jeszcze dwie takie jak ta pani która odbić się musiała od tego właśnie czambułu, za którym my od dni już czterech pościgiem idziemy i który nas obłędem wodził... Ależ go dopadniemy raz przecie!... Tatarom, jak się zdaje, ani się śni, że im nad karkiem wisimy... Ha, ha!..

Chora nie odzywała się. Od czasu do czasu tylko wydawała westchnienie, które oparem niby młodego wojownika po policzku lewem muskało.

Równo ze słonka zajściem gromadka nasza dostała się do lasu dębowego, zawalonego kłodami drzewa butwiejącego i pruchniejącego. Zmrok gęstniał. W lesie było prawie ciemno; w parowie zaś, w który się spuszczono niebawem, panowała ciemność zupełna.

Postępowano gęsiego.

Dziewczyna czarnobrewa trzymała przodek, szła spiesznie, za nią podążało kobiet parę, za temi zaś, w zwiększającej się co chwila odległości, szedł jegomość, poprzedzając dźwigającego chorą Jurka, obie jejmoście, resztę niewiast i dziadów, z których jeden Jurkowego konia za uzdę prowadził.

W porządku tym, w ciszy, przerywanej jeno łomotem gałęzi pod stopami i podzwanianiem konia wędzidłem, posuwano się z godzinę, jeżeli nie dłużej. Aż słyszeć się dało psów szczekanie, które atoli wnet ustało, gdy jegomość gwizdnął mocno. Niebawem, o ile w ciemności nocnej dojrzeć było można, widzieć się dała brama, otwierająca wstęp na podwórko, w głębi którego wznosił się budynek, przykryty strzechą niska.

Młody rycerz z ciężarem swoim do ciemnej wszedł sieni. Drzwi wewnętrzne otworzyły się; błysnęło radośnie światło łuczywa, nastąpiły powitania, które poprzedziło złożenie chorej na łożu w alkierzu, dokąd młodemu człowiekowi, krom dwóch niewiast, co z nim przyszły, towarzyszyła jeszcze i trzecia, siwa jak gołąbek staruszka.

W izbie zrobiło się naraz ludno i gwarno. Ten mówił i ten mówił. Pytania sypały się niby z rękawa, a wszystkie ściągały się do młodego człowieka i wszystkie ustały na raz, gdy ten oznajmił, że przybył na »godzinkę tylko.« (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA PIERWSZA.

B O Ń C Z A.

(Ciąg dalszy.)

II.

Treść: Langiewicz i jego oddział — Małogoszcz i Grochowiska — bitwa Mielęckiego pod Tartakiem — bitwa pod Brdowem — Callier — Litwa — utarczka w Rusanowie i pod Przysuchą — Oksiński pod Koniecpolem — egzekucja we wsi Lipie — zachowanie się chłopów — Stamirowski i jego śmierć.

W miesiącu maju z oddziałów partyzanckich jak Langiewicza, Jeziorańskiego, Kononowicza odgrywających w początkach tak ważną rolę, na których, mianowicie na Langiewicza, okrzykniętego po bitwie Małogoskiej dyktatorem w Goszczy zwrócona była uwaga całego kraju, nie pozostało i śladu.

Oddział Langiewicza największy może w całem powstaniu, bo rachujący razem z Jeziorańskim około 5 tysięcy ludzi, po utarczkach pod Wąchockiem, św. Krzyżem — po krwawej bitwie pod Małogoszczem, gdzie około 400 ludzi było zabitych i rannych a drugie tyle dostało się do niewoli *), po świetnem zwycięztwie pod Grochowiskami, przestał istnieć. Langiewicz rzucając wszystko w towarzystwie kawalerzystów przeszedł granicę i chwycony przez Austrjaków, tak błyskotnie rozpoczętą karjerę zakończył w Iglawskiem więzieniu, widocznie uważając tę przystań, pomimo więziennej wilgoci, bezpieczniejszą od niepewnych skutków wojny.

Rozbicie tego głównego i największego oddziału, pomimo zwodniczych biuletynów Rządu Narodowego, osłabiło znacznie ducha narodu i przekonanie co do męztwa nowego żołnierza, aczkolwiek rozbicie pierwotnych oddziałów nieuzbrojonych prawie, było do przewidzenia i tylko zapaleńcy i szaleni, mogli mieć nadzieję zwycięztwa nad wojskiem regularnem, a odezwy wychodzącej wtedy „Strażnicy,“ zachęcającej powstańców do brania armat kijami i szarpania wroga zębami, mogły być wykonane, ale na papierze. W bitwie pod Małogoszczem, wedle zapewnień naocznych świadków, zginęło bardzo wiele najznakomitszej w kraju młodzieży, kwiat inteligencji, która chociaż bezbronna, poczytywała sobie za ujmę honoru uciekać przed wrogiem i literalnie wypełniając zalecenia „Strażnicy,“ kąsała zębami nieprzyjaciół i została wymordowaną. Siły Moskwy pod Małogoszczem były przeważniejsze, nie mówiąc już o doskonałem uzbrojeniu, musieli więc mieć przewagę. W bitwach Langiewicza głównie odznaczał się tak męztwem jak i umiejętnem prowadzeniem ludzi do boju, oficer francuski Rochebrun. Jemu właściwie przypisują zwycięztwo pod Grochowiskami, gdzie Moskale stracili około 200 ran-

*) Według raportów moskiewskich, pod Małogoszczą, zabrano powstańcom 2 armaty; o jeńcach mowy niema. Bitwa miała miejsce d. 24. Lutego 1863 r.

nych i zabitych, jak sami ogłaszali w swoich raportach i zmuszeni byli cofnąć się w największym nieładzie.

Oddział Kononowicza czyli Opoczyński, powstały z rozbitków Langiewicza, formował się umundurował, lecz w końcu nie doczekawszy się broni i napadnięty przez Moskali, został rozproszony a sam Kanonowicz zniknął z horyzontu powstańczego. W Samsonowskich tylko lasach około Suchedniowa, trzymał się ze swym oddziałem Czachowski, starzec waleczny i zagorzały do szaleństwa.

W innych stronach kraju, drobne oddziały powstańcze jak Padlewskiego w Płockiem, Mierosławskiego w Kujawach, Sokoła i Zameczka w Podlaskiem, również zostały rozproszone wyjąwszy oddziału Mielęckiego w Konińskiem, któren nie tylko, że nie zotał rozbity, ale odniósł zwycięstwo i zmusił Moskali do cofnięcia się. Bitwa ta miała miejsce d. 22. marca 1863 r. w lasach kazimierzowskich, pod wsią Tartakiem około Konina. Mielęcki miał 300 ludzi pieszych, został napadnięty przez dwie roty, dowodzone przez Witgensteina i pomimo przeważnej liczby nieprzyjaciela, złego uzbrojenia, tak walecznie natarł na wchodzących do lasu Moskali, że zmusił ich do ucieczki. Sam, już po bitwie wyjechał osobiście na rekonesans i został ranny przez zaczajonego gdzieś żołnierza. Z rany tej w kilka miesięcy umarł. *)

Oddział Taczanowskiego pod Nową wsią w Kujawach, składający się z 1800 ludzi, po dzielnej obronie, jak to sam nieprzyjaciel przyznawał, został rozbity i rozproszony, a sam Taczanowski schronił się w Poznańskie, gdzie zajął się formowaniem kawalerji.

Pod Brdowem za Włocławkiem złączone trzy oddziały Oborskiego, Zajfryda i Junga, wynoszące 3 tysiące ludzi, także zostały rozbite. Była to może jedna z najkrwawszych bitew w powstaniu, liczono z naszej strony 500 ludzi w zabitych i rannych, między którymi był i sam Jung. Moskale ponieśli daleko mniejsze straty.

W Łęczyckiem rozbity został pod wsią Dobra, pomiędzy Zgierzem a Strykowem oddział Sawickiego, ekskisiędza czy kleryka, składający się z 600 ludzi, po części nieuzbrojonych. Niemcy koloniści z pod Łodzi naprowadzili Moskwę w sam środek prawie obozu, zabito 80 ludzi, drugie tyle było rannych a 200 wzięto do niewoli. Moskale byli pod wodzą Oposzyńskiego, majora z Piotrkowa. Dowódzca Sawicki przed bitwą uciekł z obozu, i we wrześniu za kradzież i rabunek został powieszony przez powstańców.

Jednocześnie z tem rozbity został niewielki oddział w Gostyńskiem pod wodzą Orłowskiego, eksoficera wojsk moskiewskich. Sam Orłowski przyparty na cmentarzu w Śleszynie przez kozaków kubańskich, strzelił sobie w łeb. Oddział rozpierzchł się zupełnie.

Taki był stan rzeczy w maju 1863, a wiosna ze swojem ciepłem słońcem, nanowo rozbudziła zapał w rozpierzchłych powstańcach. Dostatek broni, sprowadzonej obficie, dawał jakąś pewniejszą rękojmię, choćby obrony osobistej na wypadek zetknięcia się z nieprzyjacielem i pewnej szansy. Skupiano się przeto na nowo i formowano szybko już to piesze, już konne oddziały, z nową energją i zupełnem zapomnieniem dawnych klęsk.

W Krakowskiem do najznaczniejszych liczył się oddział Oksińskiego i Chmielińskiego, w Lubelskiem, Lelewela, Krysińskiego, Jankowskiego, w Kaliskiem, Taczanowskiego — w Płockiem, Padlewskiego, jednego może z najzdolniejszych oficerów ale nie dla powstania, w Łęczyckiem Dworzaczka, Syrewicza – w Warszawskiem, Callier'a. Nawet z Litwy dochodziły nas wieści o licznych powstańczych oddziałach pod wodzą Narbuta, Sierakowskiego i Zygmunta Trauguta. Cały kraj był w ogniu. Wszyscy ci dowódzcy uwijali się ze swymi oddziałami, staczając jedni z większem, drudzy z mniejszem szczęściem potyczki i bitwy. Rozbijani łączyli się na nowo i wyrastali jak grzyby po deszczu, a nauczeni doświadczeniem przyjęli taktykę czysto partyzancką, nie napadali, ale przeciwnie unikaniem starannem nieprzyjaciela, starali się go męczyć i znękanego przy sposobności napadali i urywali *)

Nasz oddział po dawnemu musztrując się i przeciągając z miejsca na miejsce, przez dwa miesiące prawie nie był zaczepiony przez Moskwę. Jakoś w końcu maja stanęliśmy w Rusanowie w Opoczyńskiem, dla popasu koni — w pół godziny może wpada żołnierz, stojący na pikiecie z wiadomością, że idzie piechota moskiewska W okamgnieniu byliśmy już na koniach — i czwórkami, z bronią do ataku, ruszyliśmy w kierunku nieprzyjaciela. Wyjechawszy za wieś, ujrzeliśmy na podwodach, w odległości może trzech wiorst, moskiewską piechotę, liczącą ze 200 ludzi, z kilkunastoma kozakami na przedzie, zdążającą do miasteczka Gielniowa. Widocznie nas spostrzegli, gdyż woźnice poczęli smagać szkapy batogami. Bończa krzyknął: marsz! marsz! i jak huragan puściliśmy się naprzód. Dojechawszy na 500 kroków, krzyknął: stać! — rozsypać się — ognia! kilkadziesiąt wystrzałów zagrzmiało — Moskwa odpowiedziała, zmykając co sił do miasteczka, w którem niedługo skryli się — a rozsypawszy się w tyralierkę, rozpoczęli z pomiędzy budynków gęsty ogień. Była to rota Smoleńskiego pułku, stojącego w Kielcach, która odłączywszy się od głównego oddziału, stojącego w Przysusze, wpadła na przechodzący oddział powstańczy pod wodzą Czachowskiego i została rozbitą — w popłochu uciekając, natknęła się na nas. Po zamianie jeszcze kilkudziesięciu strzałów, nie pozostawało nic innego, jak cofnąć się. Nie szło tu o rzeczywistą walkę, gdyż trudno nam było mierzyć się z piechotą, ile o pokazanie, że powstańcy są wszędzie liczni i gotowi tępić wroga na każdym kroku.

Odwrót odbył się w porządku, a nawet z pewną brawurą, bo stępa, pod ciągłym ogniem nieprzyjacielskim, nieźle nas sięgającym. Wprawdzie do powolnej rejterady zmuszał nas rozkaz dowódzcy, i choć niejeden kręcił się na koniu i uchylał głowy na świst kuli, jednakże przez pewien punkt honoru i obawę ściągnięcia na siebie podejrzenia tchórzostwa, starał się trzymać jak najlepiej. Był to pierwszy chrzest ognia, i śmiało mogę powiedzieć, że miałem straszniejsze wyobrażenie o bojaźni przejmującej na widok zaglądającej śmierci. Nie doznałem żadnej obawy. Wprawdzie nie była to właściwie bitwa, gdzie stosy rannych i zabitych przedstawiają nieprzywykłym oczom ohydny i wstrętny widok; tam prawdopodobnie i cały organizm człowieka zdenerwowany silnemi wrażeniami, skłonniejszy jest uledz obawie a nawet trwodze, lecz sądzę, że jak do wszystkiego, tak i do trwogi i obojętnego patrzenia na zeszpecone i porozrywane trupy, można snadno przywyknąć i z czasem pozbyć się pierwotnej wrażliwości. O ile mnie się zdaje, odpowiedni ustrój nerwowy w człowieku czyni go mniej lub więcej bojaźliwym, i nie wierzę w to, aby odwagę można w sobie dowolnie wyrobić. Znałem ludzi, którzy byli razem ze mną w 20 może bitwach i zawsze się bali — widocznie nerwy ich nie mogły się przyzwyczaić.

Straciliśmy jednego w zabitych i dwóch rannych.

W parę dni potem mieliśmy podobną utarczkę pod Przysuchą, również z piechotą, idącą na rozpędzenie formującego się w lasach koło Janowa Chmielińskiego. Spotkaliśmy się z nimi już pod samem miastem. Biegiem zmykali; naturalnie o napadzie nie było można i myśleć, to nas tylko zastanowiło, że Moskale, czując się zupełnie na siłach, nie zatrzymali się od razu i nie stawili nam oporu; prawdopodobnie przypuszczali, że za nami idzie piechota, i dlatego postarali się jak najprędzej obwarować w mieście. Zuchwałość nasza i zarozumiałość rosła bajecznie — przypuszczaliśmy, że nas się srodze boją.

W tym czasie, tj. w końcu maja *), Oksiński, liczący 600 ludzi piechoty i 100 kawalerji, został zaatakowany przez Moskwę pod Koniecpolem. Bitwa była zacięta i, jak na ruchawkę, nader pochlebna. Najlepszym tego dowodem była ta okoliczność, że Oksiński nie został rozbity i cofnął się w porządku w sąsiednie lasy, straciwszy w całej tej rozprawie bardzo mało ludzi. Tutaj odznaczył się niejaki Marzniewski, mężczyzna olbrzymiego wzrostu i odpowiedniej siły. Stanąwszy na moście, znajdującym się na Pilicy, z niezwykłej wielkości garlacza, gdzie mieściła się prawie armatnia kula, jak drugi Kokles rzymski, walił raz poraz, a zawsze ze skutkiem. Tak strzelając z pół godziny, nie spostrzegł w swym zapale, że sam prawie został na moście, opuszczony od wszystkich, oddalony od nieprzyjaciela na paręset zaledwie kroków. Pomimo tego nie cofnął się; naraz zadrżał — zabójczy garłacz wypuścił z rąk — dwie kule uderzyły go prawie jednocześnie w piersi i przecięły pasmo dni młodego bohatera. Moskale podniósłszy go z ziemi, dziwili się jego budowie i olbrzymiej broni, jakby umyślnie odlanej dla

*) Bitwa pod Tartakiem stoczona była d. 22. marca 1863 r. Właściwie prowadził ją nie Mielęcki ale Callier który wówczas w jego oddziale służył. Po kilkogodzinnej dzielnej obronie Callier ciężko ranny musiał porzucić oddział, zaraz też bitwa skończyła się. Mielęcki tego samego dnia napadnięty pod Slesinem stracił swój oddział i tam otrzymał ranę. Szczegółowy opis bitwy pod Tartakiem czytaj w książce «Trzy ustępy z powstania — Poznań 1868 r.

*) Niestety, w rzeczywistości nie tak było, jak utrzymuje szanowny autor. Nasi dowódzcy wprawdzie unikali starannie nieprzyjaciela, ale nie po to, żeby znękanego potem napadać, urywać i zniszczyć. Nie była to więc w żadnym razie taktyka partyzancka. Trzymanie się odporne, w nadziei obcej pomocy, wiele istotnych szkód powstaniu przyniosło. (przyp. wydawcy.)

*) Bitwa koniecpolska była dnia 25. maja 1863. Co do cofania się w porządku, autor się mylił. Oddział cofnął się w zupełnym nieładzie, nie ścigany tylko przez Moskwę, z powdu obawy Bończy, który kręcił się wówczas w tamtych stronach. Czytaj o tej bitwie w mem dziełku: «Wspomnienie Ułana» Poznań 1874. (Przyp. wydawcy.)

niego. Major dowodzący oddziałem kiwał głową i mruczał: „z takimi niewygodne dieło“.

W końcu maja przybyliśmy w Opoczyńskie. Bończa bowiem odebrał rozkaz ukarania chłopstwa we wsi Lipie, którzy odważyli się łapać powstańców i wydawać ich władzom ruskim, a nawet kilku tych biedaków mieli w drodze zamordować. Wieś to była duża i dobrze zabudowana; została przez nas otoczoną i podpaloną z dwóch stron. Miało to być przykładem dla drugich, chociaż widzi mi się, że oprócz zemsty głęboko przechowanej, kara innego skutku nie miała. Operacja ta i jęki nieszczęśliwych; ratujących swoje mienie, uczyniły na mnie niemiłe wrażenie, i rad byłbym znajdować się wtedy daleko. Główną ich winą było, wedle doniesienia, naprowadzenie Moskali na obóz Zawadzkiego, tylko co formujący się w sąsiednich lasach, który rozbili i większą część zabrali do niewoli — resztki pod dowództwem Gromejki i Rudawskiego, junkrów zbiegłych z wojska moskiewskiego, uprowadzone były w lasy około Rudy Maleniecklej.

Spędzona została cała gromada na obszerny plac, dla wysłuchania wyroku i wskazania z pomiędzy siebie najwinniejszych. Po wystawieniu im przez Bończę całej szkarady i bezpożyteczności zbrodniczego czynu, wykazaniu, że jesteśmy dziećmi wszyscy jednej matki, a zatem braćmi, nie wrogami, że interes nasz powinien być zarówno ich interesem, zażądał wskazania winnych i głównych hersztów. Widząc, że nie przelewki i zapieranie się do niczego nie doprowadzi, wskazali miejscowego sołtysa i urlopowanego żołnierza, którzy wkrótce przyznali się do zbrodni, tłumacząc się, że uczynili to pod strachem kozackich batów, wskazując przytem głównego winowajcę, żyda, krawca z Białaczewa, który wraz z synami właściwie naprowadził Moskali na powstańców; do mordowania zaś tych ostatnich nie przyznali się, co również poświadczyli i inni i miejscowy obywatel. Odkomenderowano zaraz kilku ludzi dla sprowadzenia z Białaczewa wspomnionego żyda i w niespełna godzinę już takowy wraz z synem znajdował się w obozie. Sąd był krótki: żyda, który przyznał się do winy, powieszono, syn zaś jego, ze względu na młodość, został ukarany chłostą, a spalenie wsi poczytane było za karę chłopstwa. Nawet przywódzcom, sołtysowi i urlopnikowi, darowano życie z zastrzeżeniem, że jeżeliby kiedykolwiek dopuścili się podobnego czynu, nie minie ich stryczek.

Pierwszy to raz byliśmy świadkami egzekucji i aczkolwiek wina była jasna, dowiedziona i zasługiwała najzupełniej na ukaranie, jednakże, jak każda egzekucja, przyjemną być nie mogła, dla nieprzywykłych mianowicie do tego rodzaju zajęcia.

O ile dochodziły nas wieści, najgorzej było usposobione chłopstwo w Opoczyńskiem i Radomskiem, do tego nawet przychodziło, że bez rozkazu zaczajali się na przechodzących powstańców, łapali takowych i odstawiali do komend moskiewskich. W opoczyńskiem mieli nawet w rodzaju przywódcy chłopa, nazwiskiem Bulwa czy Bulwer, który formalnie urządzał obławy. Został on rozstrzelany przez powstańców, ale dziwnem zrządzeniem. pomimo trzech kul, które przeszyły go na wylot, wyzdrowiał zupełnie i prawdopodobnie żyje podziśdzień. W wiekach średnich taki wypadek, pomimo niezaprzeczonej winy, byłby poczytany za wyrok boski, oczyszczający Bulwę zupełnie z grzechów i z przewinień. My dzisiaj możemy sądzić, że powstańcy źle strzelali.

Co do spalenia wsi Lipie, Bończa miał wyraźny rozkaz Rządu Narodowego, aczkolwiek wcale nie podzielał tego niepolitycznego postępowania, uczynił nawet w tej mierze stosowne przedstawienie, lecz odebrał polecenie powtórne nakazujące mu bezzwłocznie wykonanie wyroku, z objaśnieniem, że dla przykładu i wreszcie pewnego poszanowania dla nowego Rządu, krok ten nieodzowny, jeżeli nie chcemy rozzuchwalić nieprzyjazny nam żywioł i uniknąć scen galicyjskich. Co było lepszem? czy droga pobłażliwości, czy groza i postrach — nie wiemy.

Przez cały czas pozostawania pod komendą Bończy, byłem świadkiem tylko trzech egzekucji, żyda Białaczewskiego i dwóch chłopów — mniej winnych karał chłostą i odsyłaniem do obozów piechotnych. Czy była z nich jaka korzyść, pozwalam sobie wątpić, przy pierwszej sposobności zwykle ginęli bez wieści, a nie rzadko się zdarzało, że chronili się do Moskali i wychodzili na urzędowych szpiegów i przewodników.

Jednocześnie z ukaraniem chłopów Lipińskich, Bończa odebrał rozkaz wcielenia do swego oddziału małej partyjki powstańców, zostającej pod komendą Stamirowskiego. Oddział ten liczył ze 20 ludzi i uwijał się w okolicach Grójca, Czerska i Mogielnicy, a czasem zaglądał w Opoczyńskie i Krakowskie. Kto był Stamirowski? nie jednemu w powstaniu i przedtem jeszcze, odbiło się o uszy to nazwisko, a różnie sobie tę osobistość przedstawiano.

Stamirowski pochodził z Rawskiego, gdzie nawet miał własny majątek, uosobiona i chodząca awanturniczość, znana jeszcze przed powstaniem w swojej i przyległych okolicach; nie było bowiem żadnej burdy, żadnej głośniejszej awantury, do którejby Stamirowski nie należał. Burzliwy ten i niespokojny charakter, zdawało się, że będzie pasował do wybuchłego powstania, będzie bowiem miał pole popisania się ze swoją odwagą i siłą fizyczną, i że jedno i drugie zużyje z chwałą dla siebie i pożytkiem dla kraju. Niestety, jak wszędzie tak i tutaj był człowiekiem nie do zniesienia i daleko więcej przyniósł straty jak korzyści. Z d. 23 na 24 stycznia dowiedziawszy się o wybuchu powstania, uzbraja swojego służącego i samowtór konno udaje się do Mszczonowa, gdzie stało na kwaterach pięciu kozaków. Trafił tak, że kozacy wyjechali z miasta, traktem ku Rawie, t. j. tym, którym właśnie zbliżał się Stamirowski. Nie namyślając się wiele, bohater nasz, przypuszcza konia i nim kozacy przyszli do tego przekonania, że to nieprzyjaciel, ubija jednego z pistoletu, drugiemu łeb rozwala szablą, literalnie na połowę jak główkę kapusty i za resztą szukającą ocalenia w ucieczce przed tym szatanem, puszcza się z gwałtownym impetem i szaloną odwagą. Mając dzielnego konia, szybko dopędza jednego, a uchwyciwszy go za łeb ściąga z konia i w tej pozycji, prawie w powietrzu niosąc, dowozi go żywcem do Mszczonowa. Dwóch ostatnich szczęśliwie umknęło. Po tym wstępnym czynie, prawdziwie rycerskim, nie miał co w domu robić; zebrał kilkunastu awanturników podobnych sobie i zaczął wojować na swoją rękę, alarmować Moskali po kwaterach, napadać na odłączających się od oddziału, trapiąc ich jednem słowem wszędzie gdzie mógł i jak mógł. W Grójcu przeleciał cały rynek napełniony piechotą, szło o zakład i wygrał go. Z tem wszystkiem nie przestał burd i skandali w swoich przechodach po domach obywatelskich, obchodząc się nieraz srogo i okrutnie z tymi, których podejrzywał o nieprzychylność dla sprawy ogólnej, nie mając na to żadnych danych ani pewnego przekonania, a po większej części kierując się swą burzliwą fantazją a czasem widokami i zemstą osobistą. Takim był Stamirowski, który tak świetnie rozpoczętą karjerę zakończył na szubienicy, ginąc z ręki własnych rodaków.

Tego rodzaju postępowanie było powodem, że Rząd Narodowy, wydał rozkaz Bończy wcielenia Stamirowskiego do swego oddziału i ujęcia w kluby wyuzdanej jego swawoli. Widząc kto jest Stamirowski czuliśmy, że będzie awantura i sam Bończa nierad był temu rozkazowi. Stamirowski stał wtedy ze swym oddziałem nie daleko nas, około Rudy Malenickiej. Bończa wysyła do niego dwóch ludzi z wezwaniem o przybycie natychmiastowe do jego obozu, komunikując mu przytem polecenie Rządu Narodowego. Jak przewidywaliśmy tak się stało. Stamirowski odpowiedział, że nie myśli wcale oddawać się pod cudzą komendę i spełniać poleceń obrażających jego ambicję. Odpowiedź ta w pierwszej chwili rozgniewała Bończę do tego stopnia, że kazał nam siadać na koń, z zamiarem przymuszenia Stamirowskiego siłą do posłuszeństwa, ale przytomni temu obywatele zaczęli perswadować i odradzać podobny krok, mogący zaszkodzić całej sprawie i dać obszerny materjał nieprzyjacielowi do szykan i wystawienia nas na szyderstwo i śmieszność; znali tego awanturnika i byli przekonani, że przyszłoby do rozlewu krwi na pewno, i aczkolwiek siły Bończy były aż nadto dostateczne do wykonania polecenia, jednakże z uwagi na drażliwość kwestji i przypuszczenie, że Stamirowski się opamięta i dobrowolnie połączy, Bończa odstąpił od swego zamiaru, posyłając do niego odezwę powtórną i wystawiając niewłaściwość jego postępowania, jak również korzyść ogólną gdy będą silniejsi liczbą i nakoniec odpowiedzialność jaką bierze na siebie stawiając opór władzy, prosi go jeszcze raz o połączenie natychmiastowe. W odpowiedzi na powyższe wezwanie Stamirowski oświadczył, że od swego zdania nie odstąpi, z nikim łączyć się nie myśli i jednocześnie z tem wyruszył w Rawskie. Taka była jedność; duch niezgody i brak ogólnej subordynacji, to cecha naszego charakteru, a buta szlachecka, pomimo tyloletniego jarzma i smutnych onej następstw, nie została pohamowaną w swej fantazji i burzliwości.

Później dowiedzieliśmy się, wskutek skarg szanownych dowódzców różnych oddziałów, że Stamirowski po prostu zajmował się rozbojem i grabieżami, napadał na dwory, nakładał kontrybucje i rabując co się dało, unikał już później osławiwszy się spotkania z powstańcami. Do tego doszło, że obywatele szukali pomocy u komend moskiewskich. Tak plondrował do sierpnia i pomimo wydanej bannicji przez Rząd Narodowy i starannych poszukiwań tak przez powstańców jak i Moskali, potrafił zawsze szczęśliwie się wymykać. Zrabowawszy 200,000 złp. w końcu sierpnia, powozem i czterma końmi, przebierał się do Krakowa i wpadł na Chmielińskiego w Oksy pod Jędrzejowem. Tutaj po zaciętej obronie został pochwycony i na drugi dzień, po krótkim sądzie wojennym, powieszo-

ny w Radkowie Byłem świadkiem jego śmierci. Po założeniu stryczka, prosił, że on sam się udusi, co rzeczywiście wykonał. Miał tyle siły fizycznej i silnej woli, że sam postronek pociągnął do góry i trzymał go w zaciśniętych i skrzepłych rękach do ostatniego momentu. Tak zginął ten człowiek, przed którym leżała może najświetniejsza przyszłość, a którego burzliwość, złe wychowanie i namiętności zaprowadziły na szubienicę i skalały imię, na które nie jeden z jego przódków, odmiennemi idąc drogami, ciężko pracował przez długie lata. Zdaje się, że pozostawił matkę, — bodajby lepiej była nie dożyła tej sromotnej ostateczności! (C. d. n.)

POGADANKI

o różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych,

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

4. Coto jest szczęście i jakie są jego warunki?

Szęścia i Szczęścia! wszystko czeka, marzy,
Jak o słyszanej przy kolebce pieśni,
Jak o rumieńcu, kiedy pierzchnie z twarzy,
Lub o rozkoszy, kiedy się już prześni.
Szczęścia i szczęścia! gdzie ucho pochylić,
Na całej ziemi wszystko szczęścia żąda;
I w każdej myśli, co z czoła wygląda,
W każdem westchnieniu, co pierś mocniej wstrząsa,
Ta mara ludziom pragnie się przymilić,
Gra w pulsów biciu, po źrenicy pląsa!..

Edmund Wasilewski.

Czemże jest to szczęście, którego wszyscy pragną, wszyscy o nim marzą i dla zapewnienia go sobie nie żałują żadnych trudów i poświeceń!? Jest li ono jakiemś bóstwem, jak to sobie wyobrażali Grecy, jakąś nadziemską istotą, rozrzucającą swe dary na oślep cisnącemu się ku niej tłumowi? Jest li ono tajemniczym wyrokiem jakiegoś przeznaczenia, które z całą dowolnością, a przynajmniej w celach nam nieznanych, jednym przeznacza w życiu radości i uciechy, drugim nędzę i cierpienia?! Czy może cała nasza wiara w szczęście i wszystkie o niem marzenia są tylko złudzeniem duszy, podobnem do tych, jakim ulegają zmysły, które z powodu pewnych zakłóceń nerwowych doznają wrażeń, niewywołanych żadnemi zewnętrznemi bodźcami?..

Wątpię czy znajdzie się kto dzisiaj tak naiwny, ażeby chciał brać za prawdę wierzenia Greków, którzy dla tego tylko przybierali w kształty poetyczne uogólnienia myśli, że nagie i suche abstrakcje wstrętnemi były dla ich artystycznego umysłu. Wielu jednakże jest takich, nawet między wykształconymi, którzy ulegając nałogowo wszczepionym w dzieciństwie przez niańki przesądom, przechowują o szczęściu pojęcie niekreślone, pełne mistycznego znaczenia, upatrując w niem coś, co nie jest z tego świata, co nie daje się podciągnąć pod żadną kategorję spraw życia ludzkiego.

Nie dziw więc, że znaleźli się i tacy, którzy, odrzucając powyższe pojęcie, jako niezgodne z wymaganiami rozumu, a nie umiejąc utworzyć sobie właściwszego, zaliczyli szczęście do mrzonek młodej, budzucej się do życia wyobraźni, która przedstawia sobie rzeczywistość podług wzorów, jakich jej dostarczyły najprzód bajki piastunek, a następnie wymysły poetów i romansopisarzy. Biorąc obecny stan rzeczy za podstawę do swych wywodów, utrzymują, że cały świat ziemski, a więc i życie ludzkie urządzonem jest w ten sposób, że w nim nie masz miejsca na szczęście, że udziałem człowieka, jak i każdej innej istoty żyjącej, jest nieustanna walka, pociągająca za sobą cierpienia i boleści.

Nie da się zaprzeczyć, że w obecnym stanie ludzkości, w której uczucie słuszności zaledwie budzić się zaczyna, która kieruje się w samych dążnościach przeważnie samolubnemi popędami; że w dotychczasowej organizacji społeczeństw, która krępuje swobodny rozwój wielu stron natury ludzkiej i nie uwzględnia mnóstwa jej potrzeb, — jednostka narażoną bywa na mnogie cierpienia, spowodowane zawodami i przeciwnościami, cierpienia, pod których ciężarem nieraz upada, czując się nieszczęśliwą i straciwszy nadzieję lepszego losu. Z tem wszystkiem i najbardziej upośledzone pod tym względem jednostki miewają chwile, acz rzadkie i krótkie, w których czują się szczęśliwemi; a ogół ludzi, pomimo, że suma cierpień, jakich doznają w życiu, o wiele przewyższa sumę radości i upojeń chwilowych, niechętnie rozstają się z tym światem, gdyż sam byt człowieka jest już dla nich szczęściem, które sowicie opłaca dolegliwość i nędzę, jakiemi życie ich obdarza. Jeżeli więc słusznie można zaliczyć do fikcji doktrynerskiego umysłu wszelki optymizm, upatrujący w świecie i w życiu ludzkiem samo tylko dobro, samą doskonałość i szczęśliwość, to również słusznem jest poczytywać za czyste doktrynerstwo, niezgadzające się z rzeczywistością i dla tego fałszywe, taki pesymizm, jakim jest zapatrywanie się na życie powszechne, a szczególnie ludzkie, Schopenhauera i jego zwolenników, którzy w hipochondrycznem swem usposobieniu widzą same zło i nieszczęścia w życiu i za jedyny ratunek przed niemi uważają filozoficzną rozpacz i powrót do nicości.

Naturalnie, że szczęścia, któreby było czemś przedmiotowem, samoistnie bytującem i działającem niezależnie od woli człowieka — nie masz i być nie może; że szczęście w tym kształcie, jak je sobie wyobrażają młode i niedoświadczone głowy, jest rzeczą, dla której nie masz miejsca w warunkach codziennego życia: ztąd atoli nie wynika jeszcze, byśmy mieli wykreślać sam wyraz szczęście ze słownika i odmawiać mu wszelkiego znaczenia, byśmy zmuszeni byli wyznać, że wśród czynników ludzkiego życia nie masz zgoła nic takiego, coby nie zasługiwało na nazwę szczęścia, że między warunkami rzeczywistości nie masz ani jednego, któryby niezdolnym był uczynić człowieka szczęśliwym.

Czemże jest to szczęście! Mamyż wierzyć, że nie jest czem innem, jak marzeniem dziewiczego serca, układającem się na temat cichych i tajemniczych pragnień, jakie się w niem budzą w chwili dojrzewania, kiedy umysł nie zdając sobie sprawy ani ze swych uczuć, ani z tego co się w około dzieje, przystraja życie ludzkie, niby salę godową, w kwiaty, jakich mu naiwna wyobraźnia udziela? Jestże ono młodzieńczą wiarą w ideały, poczęte w sercu, które potrzebuje kochać i wielbić — wiarą, która młody i niedoświadczony umysł zapala do wielkich czynów, unosi do poświęceń i każe mu „mierzyć siłę na zamiary, nie zaś zamiar podług sił?“... Czy jest ono przekonaniem męża, który wolny od młodzieńczych złudzeń, obiera drogę życia z całą świadomością celu i środków, i kieruje się w swem działaniu tem głębokiem przeświadczeniem, że jeżeli i nie dojdzie do zamierzonego celu, to przynajmniej innym ułatwi jego osiągnięcie?... Jestże szczęście spokojem starca, który, stojąc nad grobem, wie, że imię jego nie będzie źle wspominanem, że zostawia kogoś na świecie, co mogiłę jego tkliwemi zrosi łzami i rzewnem westchnieniem powita każdą po nim pamiątkę?...

Tak! szczęście jest tem wszystkiem i niczem więcej!... Są niem nasze codzienne zadowolenia i przyjemności, nasze chwilowe i rzadko zdarzające się radości, uniesienia i zachwyty. Im większa jest suma tych przyjemności i radości w porównaniu do smutków, cierpień i rozpaczy, stanowiących przeważną treść naszego życia, tem jesteśmy szczęśliwsi; ale szczęśliwymi zupełnie, w całem znaczeniu tego wyrazu, szczęśliwymi bezwzględnie i stale być nie możemy, jak nie możemy być również zupełnie nieszczęśliwymi. Szczęśliwym mógłby się nazwać człowiek, któryby w życiu nie doznawał żadnych przeszkód w swych zamiarach, któregoby wszystkie pragnienia były zaspokajane bez najmniejszego z jego strony przyłożenia się; lecz pojęcie takiej szczęśliwości jest czystą fikcją, sprzeciwiającą się jak warunkom życia, które nie mogą zadość czynić wszystkim wymaganiom jednostki, tak również samej naturze człowieka, któryby wśród tego powodzenia, żadną przeciwnością niezakłóconego, przestałby doznawać rozkoszy i znudzony jednostajnością, sprzykrzyłby sobie życie. To też nie masz ludzi, którychby można było nazwać zupełnie szczęśliwymi; znaleść ich chyba można między towarzyszami głupiego Jasia albo pensjonarzami Kulparkowa — chociaż i oni muszą mieć swe utrapienia i smutki!... Nie masz również ludzi całkiem nieszczęśliwych; każdy bowiem, kto przyszedł do tego o sobie przekonania, musi stracić wszelką nadzieję i poddać się bez oporu rozpaczy, która zwykle prowadzi człowieka do samobójstwa. Nieszczęśliwymi więc, jeżeli nie chorymi, są tylko samobójcy. Udziałem zwykłych śmiertelników jest tylko mniejsza lub większa ilość radości i rozkoszy, stanowiących istotę szczęścia, w porównaniu do ilości smutków i cierpień, które człowieka czynią nieszczęśliwym. Każdy z nas jest tylko mniej lub więcej szczęśliwym albo nieszczęśliwym w porównaniu do innych, o których sądzimy z własnego stanowiska przez analogię, na podstawie pewnych zewnętrznych objawów, świadczących o ich wewnętrznych uczuciach.

Że szczęście ludzkie nie jest czem innem, jak wewnętrznem zadowoleniem, jak uczuciem przyjemności, podniesionem do wyższej potęgi, każdy łatwo się przekona, gdy, zastanowiwszy się nad sobą i nad innymi, zbada naturę swego stanu duszy, który stanowi szczęście ludzkie.

Przypatrzmy się temu smakoszowi, który zajadając ulubioną potrawę, delektuje się każdym jej kąskiem. On jest szczęśliwym, mniejsza że szczęściem przeżuwającego bydlęcia; dlaczego? Ponieważ zaspokaja najgłówniejszą potrzebę swej natury, która wszystkie inne w nim potłumiła — potrzebę wrażeń smakowych. Podniebienne podrażnienia są dla niego najwyższem pragnieniem, obok którego wszystkie inne zaledwie podrzędne mają miejsce.

Spojrzmy teraz na zakochanych. Że oni są szczęśliwi, któżby o tem wątpił? Cóż stanowi ich szczęście? Oto przekonanie, że między ich

uczuciami najzupełniejsza panuje zgodność; oto wiara, że te uczucia pozostaną na zawsze takiemi, jak są dzisiaj; nadzieja, że bliska przyszłość urzeczywistni wszystkie ich marzenia, nareszcie wewnętrzne zadowolenie z tego, że każdemu ich pragnieniu staje się zadość. Najwyższą ich potrzebą jest kochać i być kochanymi; ta potrzeba znajduje swe zaspokojenie w spojrzeniu, w znaczącem słówku, w uścisku dłoni i we wszystkich tych oznakach uczucia, które ludzie rozsądni nazywają dziecińtwami, ale których zakochani nie oddaliby nawet za zbawienie.

Szczęśliwymi są rodzice, gdy w dorastających dzieciach widzą spełniającą się nadzieję, że znajdą w nich pociechę i zaszczyt swego imienia; szczęśliwym jest artysta, gdy wpatrując się w swe dzieło, przekonywa się, że zaspokaja ono wszystkie wymagania artystycznego uczucia, które stanowi najwyższe jego pragnienie; szczęśliwym nareszcie jest uczony, posiwiały w suchych na pozór badaniach, gdy po długich i uciążliwych poszukiwaniach dochodzi do wykrycia prawdy, będącej jego głównem zadaniem, wyłącznym celem życia. Słowem każdy człowiek wtedy tylko jest szczęśliwym, gdy zadość się czyni jego pragnieniom, i o tyle tylko, o ile te pragnienia, stanowiące panującą w nim potrzebę, są zaspokajane w mniejszym lub większym stopniu w danych warunkach rzeczywistości. (C. d. n.)

Z INTERMEZZO.

Najpierwszy z kwiatów, pierwiosnek,
Raz niosłem jej, pomnę, w ofierze,
Wraz z kwiatkiem pierwszą z mych piosnek
Na blado-różowym papierze.

Na kwiatek padł słońca blask złoty:
Uwiądł w mym ręku pierwiosnek,
A ciocia jej na papiloty
Wzięła najpierwszą z mych piosnek.

Czesław.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie).

Wielkie było zdumienie starego Koniuszego, gdy dnia jednego w białym kitlu powracając ze stajni, ujrzał przed sobą stojącego Jacka...

— Ty! tu? — zawołał rzucając mu się na szyję. A niech-że cię przywitam! Jawnie i oczywiście, tandem do portu dobiłeś? Masz swe szlachectwo.

— Mam — rzekł Jacek smutnie.

— Zatem nie pozostaje nic, tylko konie zaprządz, do panny jechać i wesele sprawić.

— Właśnie ztamtąd powracam.

— Wszystko skończone! — zawołał Koniuszy.

— A! wszystko skończone! — odparł Jacek.

— Ba! i cóż tak smutnie?

— Z pannąśmy się rozeszli — rzekł Zadorski.

Nie zrozumiał Drobisz.

— Coś ty? zwarjował? po ośmiu latach próby i służby, jak za Rachelę? Co bo pleciesz?

— Nie plotę, panna mi kazała iść precz...

Z twarzy Zadorskiego zmiarkował Koniuszy, że to nie były żarty.

— Na rany Chrystusowe! mów jasno? Cóżeś zawinił?

Zadorski chwilę stał bezmownym.

— Sądź mnie, mój ojcze — rzekł poważnie. Mam rodziców, są ludzie ubodzy i prości, lecz są rodzicami memi, którym ja winienem wszystko, którzy cierpieli dla mnie. Prosiłem jak o łaskę aby ono biedactwo choć na ślubie się znajdować mogło, choć pobłogosławić.

— Miałeś racją! co u kata! — zawołał oburzony Koniuszy.

— Panna mi odpowiedziała na to: a tego to już nadto! i —

— I, porzuciłeś ją?

— Kazała mi iść z kąd przyszedłem — dokończył Jacek.

— Niech-że ją! — zamachnął ręką, stary Koniuszy...

Poszli zwolna do izby.

— Ona się upamięta — dodał stary — nie może to być, obojeście dla siebie tyle ucierpieli.

— Wątpię aby ona zmieniła postanowienie — rzekł Jacek — a ja mojego nie mogę. Kocham moich starych i despektu im uczynić nie dam... Żal mi tylko żem się dla niej marnego tego klejnotu tak dobijał — krzyknął pudłem o ziemię ciskając. Chamem się urodziłem, chamem trzeba było umierać...

Wzdrygnął się podejmując z ziemi dyplom Koniuszy.

— Nie bądź warjatem! — rzekł poważnie.

Jak tam ten dzień upłynął na narzekaniach i na przekleństwach, opisywać tego niepodobna. Chciał zaraz Jacek jechać do Białej, ale go stary nie puścił, widząc że prawie był bezprzytomnym i jakby w gorączce. Może też spodziewał się jeszcze, iż rzeczy albo się ułożą lub gdy umysły ochłódną, znajdzie uczciwy sposób pojednania.

Tak z dnia na dzień, uspokajając biednego Jacka, wodząc go z sobą codzień do kościoła przetrzymał go Koniuszy... Już jednak miał jechać, gdy wedle słów doktora, z aprehensji wielkiej dostał febry a żółć mu się poburzyła tak, że w dawnej swej izdebce musiał obledz i chorował tam aż do wesela panny Barbary. W sam ten dzień, chciał je przed nim utaić Drobisz, ale służba się wygadała i nie podobna go było niczem powstrzymać ażeby do kościoła nie szedł. Tyle tylko dokazał stary, że go nie odstępował i razem z nim musiał iść, obawiając się jakiej historji.

Miał go ciągle na oku, lecz Jacek znalazł się bardzo przyzwoicie, a choć blizko podszedł gdy od ołtarza powracali, choć spojrzał raz jeszcze na nią, oprócz Koniuszego nikt może tego nie dostrzegł.

Ostani wyszli z kościoła, gdy już wesele całe odjechało, i tłum się rozsypał.

— Serceś sobie daremnie popsował — odezwał się do niego Koniuszy gdy powoli szli ku dworowi — po co to było iść, i mnie z sobą ciągnąć!

— Nie, ojczulku — rzekł Jacek — sercem sobie naprawił i uzbroił, aby wiedziało, iż nadziei szczęśliwości na ziemi dla niego już nie ma!

— Nie plótł byś — odparł Koniuszy. — Gdybyś miał rozum, właśnie byś na złość jej wybrał sobie młodą dziewczynę i ożenił się, a byłbyś szczęśliwy.

— Chyba nie — rzekł Jacek — co innego to dorywcze amory i po nich ochota do odwetu. Ja już mogę powiedzieć, jakby wdowcem po niej jestem, ośm lat żyłem myślami z nią i dla niej, przyrosła mi do serca — a teraz...

— Wszystko to z czasem zwietrzeje! — rzekł Koniuszy.

Parę dni jeszcze zabawił Jacek tutaj, chodząc jak mruk, jak cień, nakoniec do rodziców się wybrał.

Tam w ubogiej chatce myślano o nim nieustannie i starzy mówili sobie, że się już ożenić musiał. A że im się na weselu być nie dostało, wcale nie brali do serca, bo się tego nie domagali i nie spodziewali.

Gdy Jacek, konie zostawiwszy w gospodzie, przyszedł sam do rodziców, podbiegli ku niemu oboje z wesołemi twarzami.

— A co, Jacku kochany! po weselu...

— Gdzież tam! — odparł usiłując się uśmiechnąć — wesela już nie będzie.

— Toż dlaczego? — zawołała stara — a takeście się kochali.

— Prawda, ale pannie się czekać znudziło — wybrała sobie innego.

Powiedział to umyślnie z udaną obojętnością, aby nie poznali jak cierpiał.

Stara matka zamilkła, czekając dalszych objaśnień, ojciec, niemieszający się nigdy do niczego, oprócz gdy mógł usłużyć, patrzał z daleka na syna i głową kiwał. Pomimo przybranej obojętności, którą chciał okazać Jacek, widać było, że w sobie ciężkie strapienie ukrywa. Pocieszać go nie śmieli, ani by potrafili. Stękali z nim razem.

— Cóż teraz myślisz? — spytała matka.

— Nie wiem sam — rzekł Jacek — potrzeba by wrócić do Ks. Podkanclerzego i dalej pisać, ale po co? Jak do czego innego, tak i do tego ochoty brak...

Przegadali tak cały wieczór, potrzeba było coś postanowić. Jacek nie miał woli do niczego. Dopóki mu jakiś cel się w życiu uśmiechał, praca wszelka szła raźno, teraz i ona i życie mu ciężyło. Matka pierwsza postrzegła, że go trzeba z tego odrętwienia czemś wyrwać i zaczęła nalegać, aby do Warszawy powracał. Kobieta prosta miała ten rozum powszedni, nie obałamucony żadnemi ubocznemi względami i nałogami, który często widzi najjaśniej, w najtrudniejszych zadaniach.

— Juścić — rzekła — duszy dla jednej kobiety gubić nie będziesz, życia so-

bie nie odbierzesz, trzeba taki żyć, a jak żyć, to i coś robić na życie. Szukać nowego, to tam trudno, bo chybić łatwo; musisz powrócić do znajomych ludzi i do tego do czegoś nawykł.

Antoszek słuchał i głową potwierdzał, bo w rozum żony wierzył jak w ewangelią.

Jacek tedy trzeciego czy czwartego dnia, choć opieszale, zaczął się wybierać — i wyjechał.

Czekano go tam w kancelarji nie z wielką pewnością, czy powróci. Ks. Podkanclerzy był prawie pewien, że ożeniwszy się, zagrzebie się na wsi; ks. Jezierski za nic nie ręczył. Bolano tylko, że go nie łatwo zastąpić przyjdzie, bo miał tę wielką zaletę, rzadko spotykaną u ludzi zdolnością obdarzonych, iż na swoją rękę i po swej myśli nie upierał się robić nic. Można się nań było spuścić, że wykona co mu polecono, nic nie dodając i nie ujmując.

Gdy się ukazał w owej izbie kancelaryjnej, gdzie się go już widzieć nie spodziewano, powitano go radosnym okrzykiem.

— Zmartwychwstał! — zawołał ks. Jezierski, szeroko ręce do powitania rozkładając. — Jakże? *incredibile dictu,* opuściłeś świeżo zaślubioną dla stawienia się do bibuły? E??

— Nie żenię się! — odparł smutnie Jacek.

— Jakto? cóż się stało?

— Nie przyjęto mnie — rzekł z pewną niechęcią do tłumaczenia się Jacek — nie ma o czem mówić.

Popatrzył na stół.

— Jest jaka robota?

— O! i pilna i nader pilna, jakbyś nam z nieba spadł. Siadaj i smaruj, a o losach swych rozpowiesz mi poźniej.

Zadorski zaprzągł się tedy do ciężkiej pracy znowu, a im ona była bardziej go pochłaniająca, tem pożądańsza dla niego, bo się stawała lekarstwem, często wprawdzie wśród pisania, pióro się zatrzymywało, myśl gdzieś biegła, i ks. Jezierski spojrzawszy nań, odgadywał, że biedak w przeszłości się zatapiać musiał. Nie przerywał mu tych rozmyślań, a gdy wielce pilno było, czasem tylko chrząknął lub poruszył się, aby go rozbudzić z marzeń.

Skończył się Sejm czteroletni, i Ks. Podkanclerzy z Warszawy musiał uchodzić, wprzódy jednak miał czas zalecić Jacka do kancelarji królewskiej, gdzie miejsce stałe otrzymał.

Lata płynęły przynosząc z sobą zmiany coraz głębiej wstrząsające starą Rzpltą, która nakoniec runęła. Jacek, zmieniając zajęcia, czasem żadnych nie mając, z niewielkim uzbieranym groszem, trzymał się ciągle w Warszawie, do której bruku przyrosnął. Ojciec mu był zmarł w 1794, matkę wziął do siebie, sprzedawszy chałupę. Stara Maryś chodziła po kościołach, modliła się i po troszę pilnowała synowskiego gospodarstwa. Żyło się skromnie i cicho.

Jacek posiwiał był przed czasem, ale zresztą trzymał się młodo i silnie. Praca kancelaryjna u stolika, która najbardziej człowieka niszczy i łamie, nie zmogła jego silnej natury. Nie mając teraz za pruskich rządów nic do czynienia, przypatrywał się im z ciekawością widza, co lepsze czasy pamiętał. Kiedy książki jakiej brakło, szedł na miasto i napawał się gorzkim widokiem zmian, jakim uległa wprzódy tak ożywiona stolica. Kilku starych znajomych ze dworu króla, jak on dziś bez zajęcia, składało kółko, w którem sobie po cichu legendy z niedawnych, a już w poetyczne barwy przystrojonych czasów opowiadano.

Wieczorem matka powracała z nieszporów, on z przechadzki, rozmawiano trochę jeszcze i Jacek szedł do swojej izdebki na spoczynek.

Nie było to już życie, ale wegetowanie cierpliwe i nudne — dopóki — jak mówiła stara — nie zawołają, tam!

Jednego dnia powróciła matka wielce ożywiona z nieszporów.

— Wystaw-że sobie, co mnie spotkało — rzekła do syna — zrobiłam znajomość z jakąś bardzo miłą i grzeczną osobą, kobietą średnich lat, i to wychodząc z kościoła.

— Bóg ją raczy wiedzieć — odezwała się stara — nawet mi nazwiska nie powiedziała, czy ja go nie dosłyszałam, bo tak byłam zdziwiona i poruszona, żem przytomność straciła. Kiedym z kościoła wychodziła, w kruchcie, patrzę, idzie ta jejmość i patrzy mi się w oczy, patrzy, patrzy, nareszcie w progu powiada »przepraszam panią, czy nie pani Zadorska, matka pana Jacka?« A tak, mówię jej, ale zkądże mnie pani zna? »Ja pani nie mam przyjemności znać, ale mi powiedziano...« Zbliżyła się tedy do mnie... czekam co dalej. Tu, wyczekawszy trochę, odzywa się: »Ja tu niedaleko mieszkam, jeśli łaska, proszę do mnie na kawę, tam się rozmówimy.« Cóż, miałam jej odmówić, kiedy prosiła tak grzecznie; szłam tedy do domu jakiegoś na Krakowskiem, mieszkanie bardzo porządne, sługa jeden, służąca. Zaraz kazała kawy podać, prosiła siedzieć, i gdyśmy posiadały, a mnie ciekawość niezmiernie piekła, zaczęła mówić, że jej familia koło Kodnia dawniej mieszkała, że ona Jacka widywała, że go bardzo dobrze pamięta, i w tąż pyta, co się z nim dzieje.

Jacek słuchał z natężoną ciekawością.

— Ale któż to może być? — pytał.

— Dalipan, nazwiska nie pamiętam; kobieta z pańska wyglądająca, nie stara i bardzo grzeczna. Ale słuchaj-że co dalej. Wzięłam jej opowiadać całą historję twoją, rozumie się, co było można i co przez te lata się przygodziło. Słuchała, ciągle się we mnie wpatrując i pytaniom nie było końca. Na ostatek, że już się późno robić zaczęło, pożegnałam ją i poszłam.

Zamyślił się mocno Zadorski.

Nie sposób było odgadnąć, kto to mógł być taki.

Po kilku dniach staruszka znowu powiada:

— Widziałam tę jejmość w kościele, kłaniała mi się. Zdaje się, że nawet znowu miała ochotę mnie prosić do siebie, alem wyszła wcześnie, bo po co ja tam mam chodzić.

Zadorski głowę sobie łamał, kto to mógł być, i naostatek wpadł na myśl, że chyba dawna panna Rejentówna, która teraz z mężem w Warszawie mieszkała w pięknej kamienicy własnej. Nie bardzo był ciekaw ją widzieć.

Czas jakiś przeszedł, zagadywał Zadorski matkę o tę jej znajomość, ale stara głową potrząsała, ramionami ruszała, nie mówiła nic. Tylko wieczorami zdawała się umyślnie naprowadzać rozmowę na dawne czasy i kilka razy wspomniała Łowczankę.

— Tego to ja odżałować nie mogę — mówiła, żeś ty się z nią nie ożenił, boć była przywiązaną do ciebie.

Jacek milczał.

— Masz ty do niej rankor w sercu? pytała.

— Ani rankoru ani miłości nie mam — odparł Jacek — choć mi ta kobieta całe życie zwichnęła...

Nigdy się rodzicom nie przyznawał, o co poszło, że się rozstali, zdziwiło go więc mocno, gdy matka raz poczęła mówić wprost, jakby o wszystkiem wiedziała.

— Nie tak to ona bardzo winna była — rzekła — choć się trochę uniosła, bo jej nie o siebie, ale też o rodziców chodziło, coby oni za wstyd mieli z tego, gdybyśmy byli z nieboszczykiem Antoszkiem na ślubie się pokazali.

— A matka zkądże wie, że my o tośmy się poróżnili? — krzyknął Jacek zdziwiony.

— O! zachciałeś, powoliś mi się sam nieznacznie wygadał i ja się domyślałam.

— Jam się z tem mógł wygadać?— zapytał Jacek — ja!

— Ale ty... dajże pokój! zkądbym wiedziała?

Nie mógł Zadorski na żaden sposób sobie przypomnieć, gdzie, jak i kiedy się wygadał niepotrzebnie. Wstyd mu było za samego siebie.

Matka całą tę rozmowę zatarła jakoś i zagadała o czem innem.

W sam dzień śś. Piotra i Pawła, zażądała staruszka, aby syn z nią razem na nabożeństwie był u Bernardynów. Jacek chciał iść do ś. Jana, ale zawsze powolny dla matki, zgodził się iść, gdzie jej było przyjemniej... Gdy wychodzili z kościoła, stara się niespokojnie wpatrywała w syna.

— Mój Jacuś — rzekła — jakbyś ty dobry był, tobyś mnie odprowadził do tej znajomej jejmości, bom jej przyrzekła po mszy św. u niej być.

— A ja tam po co? — rzekł Jacek — nie znam jej, choćbym i znał, nie ciekawym odnawiać znajomość.

— Kiedy ja cię proszę, chodź, tylko do progu — nalegała matka.

— Koniecznie?

— No... proszę.

Szedł tedy Jacek i dziwiąc się i śmiejąc, że stara miała fantazje takie. Weszli razem do bramy, potem w lewo ku drzwiom, które się zaraz otworzyły. Na progu stała pięknego wzrostu kobieta czarno ubrana, której twarzy przeciw światła Jacek dojrzeć nie mógł.

Matka prawie gwałtem go pociągnęła, szepcząc:

— Ale bo... chodź.

Weszli oboje i — pomimo lat upłynionych tylu — poznał Zadorski stojącą przed sobą Łowczankę.

Nie była to owa żywa Basia lat dawnych, którą spotykał na grobli u krzyża, ale niewiasta życiem zmęczona, choć piękna jeszcze i z tą samą na twarzy energią męzką, jaką dawniej miała.

W jednej chwili z tą twarzą wróciły na pamięć wszystkie wspomnienia i uczucia lat dawnych, Jackowi krew uderzyła do głowy, stał niemy i pomieszany, aż Podsędkowa się odezwała:

— Cóż to, pan dawnych swych przyjaciół nawet znać nie chcesz? Juści nie masz tak złego serca, abyś w niem dotąd gniew chował...

I rękę mu podała, którą Zadorski pocałował z gorącością wielką; jednak mu mowa jeszcze powrócić nie mogła. Patrzał, patrzał i już mu obraz dawnej Basi z teraźniejszą poczynał się w wyobraźni jednoczyć, jak to się dzieje zwykle, gdy po długich niewidzenia latach, ludzie się spotykają znowu.

Zrozumiał to, dlaczego żądając od niego rozgrzeszenia Łowczanka, przez jego własną matkę, przeciw której zawiniła, o nie się domagała; domyślił się, że i całą historję przeszłości, którą on taił przed staruszką, ona jej opowiedzieć musiała. Serce mu niezmiernie zmiękło; siadł, patrząc na nią jak w tęczę. Podsędkowa uśmiechała mu się.

— Prawda, gdybyś mnie teraz spotkał w ulicy, nie wiedząc kto jestem, nie poznałbyś dawnej Łowczanki? — poczęła.

— Jako żywo, poznałbym pewnie! — przerwał Jacek — choć może w pierwszej chwili niebardzo bym był pewien, czy podobieństwo nie zwodzi.

— Jam dziś stara baba! — westchnęła Podsędkowa.

O męża, o dom, ani śmiał pytać Jacek, wtrącił tylko coś o Łowczym i o samej pani.

— Ojcu się zmarło bardzo rychło po... moim ślubie — dodała spuszczając oczy — matkę dopiero w przeszłym straciłam roku...

Stara Maryś z uśmiechem niewypowiedzianego szczęścia patrzała to na syna, to na gospodynię, zdawała się niecierpliwą czegoś — posuwała się z krzesłem, kręciła, jakby odejść chciała, a im nie przeszkadzać.

Zadorski nie śmiał ani spytać, ani nawet nazwiska Podsędka wymówić.

— Cóż to panią sprowadziło do Warszawy? — zapytał w końcu.

Basia się zarumieniła.

— Rady sobie nie umiem dać z interesami — rzekła — od czasu jak męża straciłam.

Jacek aż się rzucił na krześle, kamień mu spadł z serca, z Podsędkową musiał być, jako z kobietą zamężną, na stopie ceremonialnej. Teraz wracała Basia, swobodna, a wracała mu przychylna i przeszłości pamiętna.

Jakby do reszty mu się chciała z położenia swego wytłumaczyć, dodała zaraz Podsędkowa:

— Dzieci nie mam, sama jedna jestem na świecie...

Z godzinę tak przesiedzieli, a gdy wreszcie Jacek wstał się żegnać, zatrzymała rękę jego Basia.

— Co będziemy się okłamywali — zawołała — jam nie po co, tylko po was przybyła do Warszawy. Masz jeszcze serce dla mnie, a zapomniałeś mi com zawiniła, no, to bierz mnie i ruszajmy na wieś wszyscy, bo ja tu w mieście dłużej nie wytrzymam!!

Tak się owa historja chama skończyła, wprawdzie pod siwym włosem, ale bardzo szczęśliwie.

Jacek odżył, odmłodniał, poweselał — a gdy po ślubie z kościoła wychodzili, wziąwszy się pod ręce, taka z nich jeszcze piękna była para, jakby im obojgu przecierpiany lat dziesiątek odjęto.

KONIEC.

Eldorado komunistów.

»Znaszli ten kraj...?«

Niedawso temu, pewien fejletonista, pisząc o socjalizmie i socjalistach, uraczył czytelników jakoby całkiem nowym pomysłem, w celu praktycznego wypróbowanie teorji głoszonych w ciągu dwumiesięcznej rozprawy przeciw socjalistom w Krakowie. Oto radzi on wyszukać i nabyć jaką daleką a odludną wysepkę na oceanie i tam wysłać mały hufiec pionierów socjalistycznych, aby, odłączeni od dawnego świata i jego urządzeń, wprowadzili w czyn swoje ideały organizacji społecznej i pokazali światu, jak też wygląda ich „państwo przyszłości“ czy też „komuna“ Eksperyment pewny, zdaniem autora, odbyć się może tylko właśnie na takiej wyspie Robinsonowej, gdyż żadne z istniejących państw, *»ani nawet w Ameryce,«* nie ścierpiałoby w swojem łonie tego rodzaju stacji doświadczalnej.

Autor ów nazwał swój pomysł wyraźnie: *wynalazkiem.* My zaś oświadczyć musimy, że jest to *Ilias post Homerum.* Pierwsza próba urządzenia „komuny“ miała miejsce przed 100 laty, i to właśnie w Ameryce, w Zjednoczonych stanach, gdy tam wylądował pierwszy zastęp sekciarzy dziwnego nabożeństwa, znanych pod nazwą *»Shakers,«* czyli *drgaczy,* a przypominających bliższych nam nieco „Skakunów.“ Na czele ich stała wówczas słynna Anna *Lie,* zwana przez swoich: *»Mather Ann.«*

Odtąd próby tego rzędu coraz częściej się zdarzały, a osady komunistyczne istniały i istnieją dotychczas w Zjednoczonych Stanach, zawierając w sobie wszystkie niemal odcienia socjalistycznych organizacyj, jakich tyle znamy z teoryj.

Dziś komunizm amerykański ma już swoją literaturę, i to dość obszerną. Że tylko wymienię klasyczne w tej mierze dzieło p. Ch. *Nordhoff* p. t. *»The Communistic Societies of the United States etc.«* (Londyn 1875), oparte na osobistych dostrzeżeniach uczonego autora. Nowsze dzieło o tejże materji, również zawierające własne spostrzeżenia autora, jest prześlicznie wydana książka p. *W. A. Hinds »American communities; Brief sketches of Economy, Zoar, Bethel, Aurora, Amana, Icaria, Ihe, Shakers, Oneida, Wallingford and the Brotherhood of te New Life,«* Oneida N. Y. 1878, odznaczająca się pięknym stylem i przystępnym wykładem. Bardzo ciekawe szczegóły o komunach amerykańskich znajdują się także w Nowej Ameryce w. H. *Dixona**) i w dziele p. t. „Nordamerikanische Arbeiterverhältnisse von Arthur v. *Studnitz* (Leipzig 1879), nie licząc nawet całej powodzi dzieł i pamfletów wydawanych przez samych sekciarzy w ich własnych drukarniach — komunistycznych.

Wobec tego stanu rzeczy stanowczo odradzić muszę szukanie odludnej wyspy do eksperymentów socjalistycznych, a natomiast proponuję wynalazcy tego projektu, podróż naokoło mojej biblioteczki.

Kiedy zaś już zaczepiłem o ten temat, to niechaj mi wolo będzie podzielać się z czytelnikami pokłosiem z przytoczonych dzieł, i zachęcić może do poznania ich samych. Nie pożałujesz tego czytelniku, chociażbyś nawet nie uwierzył panu W. A. *Hinds* który twierdzi, że „przykłady te (osad komunistycznych) świadczą o praktycznej możebności ukształtowań społecznych, w których by nie było miejsca dla pauperyzmu, sprośności i zbrodni jak i dla wszelkich nierówności prócz tych, które pochodzą z różnicy charakteru.“

Spieszmy więc ujrzeć

»The bright morning of the new creation«!

Przytoczony już wyżej William Alfrer *Hinds* wylicza 28 osad komunistycznych obecnie istniejących w Stanach Zjednoczonych. W r. 1874 ludność wszystkich tych osad, rozdzielonych na 13 stanów, wynosić miała przeszło 5000 dusz, a posiadłość ziemska około 180.000 akrów. Ogólny zaś majątek tych komun jest bardzo trudnym do ocenienia, gdyż z różnych powodów ukrywają prawdziwe cyfry. P. Charles *Nordhoff* ceni majątek wszystkich gmin na najmniej 12 milionów dolarów; p. *Hinds* zaś mniema iż tyle wynosi majątek samych tylko *Shakerów.*

Są komuny z cechą religijną, są inne zupełnie świeckie, gdzie członków nie wiąże jedność wyznania. Niektóre osady są czysto rolnicze, inne fabryczne, a w wielu łączy się rolnictwo z przemysłem. Każda gmina między swoimi członkami ma i kobiety; stanowiska zaś kobiet nie wszędzie równe. I tak n. p. Shakery są tak ścisłymi przestrzegaczami *celibatu,* że reguły ich wzbraniają wszelkiego obcowania z płcią piękną; każdemu mężczyznie przydziela się „siostra“ li dla załatwiania jego potrzeb domowych, jak kuchni, bielizny i t. p. T. zw. „Inspiracjoniści“ (w kom. *Amana,* st. Jowa), dozwalają na małżeństwo, lecz uważają je li za przykrą konieczność. Natomiast „Perfekcjoniści (w gmin: *Oneida* i *Wallingford,* h. y.) tak dalece sobie lekceważą instytucję małżeństwa, że członkom swoim obojga płci, dozwalają wspólnego pożycia „skoro się poznali i pokochali;“ związek taki wymaga jednak pośrednictwa trzeciej osoby i zawisł od zezwolenia zarządu, który prowadzi statystykę i stara się „nregulować ludność.“ U „Seperatystów“ w gm. *Zoar* (H. Ohio) małżeństwa również zawierają się tylko za zezwoleniem władzy; dzieci z ukończonym trzecim rokiem, przechodzą pod bezpośrednią opiekę gminy. W *Ikarji* wreszcie małżeństwo jest wyraźnie protegowane przez władzę. Podobnież

*) Wyszedł polski przekład w Warszawie.

i w innych gminach. W żadnej zaś nie znajdziesz śladu owych nieporządków w pożyciu mężczyzny z kobietą, o jakich się u nas często myśli, skoro mowa o socjalizmie i komunizmie; stwierdzają to zgodnie wszyscy autorowie, bez względu na ich stanowisko.

Co się tyczy innych praw kobiety w tych gminach, to zawisły one oczywiście od tego głównie, czy gmina jest wyznaniowa czy nie. Rozumie się, że u takich n. p. Shakerów kobieta odgrywa rolę bardzo podrzędną. Natomiast w Ikarji ma ona wszelkie prawa zarówno z mężczyzną i nawet w obradach publicznych ma głos, ale tylko *doradczy*. Stanowczy głos mają kobiety przy wyborach u Perfekcjonistów (Oneida.) Wspólną cechą wszystkich gmin jest: 1) zupełne usunięcie prywatnej własności i prawa spadkowego; 2)produkcja odbywa się na rachunek wspólny; zyski się nie rozdzielają, lecz idą na wspólne potrzeby i wspólne fundusze zapasowe; 3) wszyscy członkowie pracują zarówno, ale miernie; wszyscy otrzymują od gminy czego im potrzeba do życia i zaopatrzenie w razie choroby i starości. 4) wychowanie otrzymują również wszyscy od gminy, która też utrzymuje biblioteki, zbiory i t. p.

Komuny te powstawały jedna po drugiej na dziewiczej ziemi Ameryki, i tak osadnicy, którzy tam przyszli byli karczować lasy i użyźniać rolę, stali się „pionierami“ w podwójnem znaczeniu, bo podejmując odwieczną walkę człowieka z przyrodą, równocześnie w tych miejscach łożyli pierwsze podwaliny do nowego porządku społecznego, o którym dziś jeszcze niepodobna stanowczo zawyrokować, gdyż jak słusznie nadmienia p. Hinds, „komunizm jest w dziecięcym dopiero wieku, podczas gdy formy społeczne z któremi się go porównywać zwykło, okryte są potem mnogich wieków, *are hoary with the frost of centuries.*«

Co do ludności tych komun, to znajdziesz tam zastępców wszelkiego narodu. Skoro, jak wiadomo, w ogóle ludność amerykańska nie urobiła sobie jeszcze zupełnie odrębnego typu, mimo sprzyjających temu okoliczności, to tem bardziej w owych osadach, tworzących jakoby wyspy wśród innych, bardziej do nas zbliżonych organizmów, ludność napływowa zachować zdołała pierwotne swe cechy narodowe. I tak n. p. u „Harmonistów“, którzy są wszyscy Niemcami, do tej chwili nie spotkasz się z innym ubiorem, jak tylko staroświeckim strojem włościan wirtemberskich; w Ikarji zaś, lud nie różni się w niczem od dzisiejszego ludu Francji.

Nordhoffa, który umyślnie objeżdżał wszystkie osady komunistów, uderzył mianowicie fakt, „że gminy te, złożone w znacznej części z rękodzielników włościan (jakkolwiek niektóre gminy nawet w znacznej liczbie posiadają ludzi wyższego ukształcenia, jak adwokatów, lekarzy, magistrów „sztuk wyzwolonych“ i t. p.), rozporządzając nadto z początku bardzo małymi zasobami, były w stanie zaprowadzić znakomite ubezpieczenia na wypadek starości i okaleczenia swych członków, zapewnić dobre wychowanie ich dzieciom i wreszcie doprowadzić także do znacznego dobrobytu“. Gminy, które początkowo oddawały się tylko rolnictwu, stopniowo przechodziły do rzędu gmin przemysłowych, a większa część ich znajduje się w stanie kwitnącym.

Niektóre gminy istnieją od lat 25, inne lat 50, a są i takie, które całe stulecie mają już za sobą.

Do tych należą mianowicie gminy tak zw. Shakerów (drgaczy), o których już wyżej wspomnieliśmy; jest ich obecnie 17 w 7 Stanach. Każda gmina dzieli się na kilka „rodzin“, z których każda tworzy małą komunę, tak iż właściwie komun Shakerskich liczą 58 o 2415 głowach, a więc na każdą komunę przypada 40 członków.

Shakery przestrzegają celibat, unikają ozdoby w budowlach i t. p., są *spirytystami*, wierzą w powrót Chrystusa na ziemię i do dogmatów swoich zaliczają także *wspólność mienia*.

Pierwsi Shakerzy przybyli do Ameryki pod przywództwem wzmiankowanej już Anny *Lee* w r. 1774. Byli to Anglicy, którzy porwani szałem religijnym, narobili tyle hałasu w swojej ojczyźnie, że im nareszcie wypadło uchodzić przed ramieniem władzy. Skoro ta gromada osiadła w Stanie Nowojorskim, pod ustawicznym wpływem „matki Anny“, o której niezliczone krążą legendy, zaczęli zewsząd zgłaszać się do nich ludzie ożywieni tymsamym „duchem“. Szał religijny, znany pod nazwą: *the revival* (obudzenie), szerzył się jak zaraza, a Shakerom ciągle przybywało członków.

O pożyciu Shakerów już wyżej nieco nadmieniliśmy. Tu winniśmy przedewszystkiem dodać, że każda gmina ich dzieli się na „nowicjat“ i „zakon kościelny“ *(Church-Order)*; do Church-Order należą tylko ci, co zupełnie zerwali ze światem zewnętrznym (t. j. poza Shakerskim). Mają oni duchownych, którzy wysyłani bywają w celach misjonarskich, a *zarząd* piastują również duchowni. Każdoczesny naczelnik sam mianuje swego następcę. Niektórzy upatrują w tej formie początki rządów czysto teokratycznych! — Dla bardzo ciekawych czytelników dodamy jeszcze, że Shakerzy nie jadają wieprzowiny i w ogóle przenoszą żywność roślinną nad mięsną.

Również religijną cechę mają osady t. zw. *Harmonistów*, pochodzenia niemieckiego.

Harmoniści przybyli do Nowego Świata w r. 1803, gdy odstąpiwszy od panującego kościoła w Niemczech, kraj ten opuścili. Przenosząc się z miejsca na miejsce, założyli sobie nareszcie stałą siedzibę »*Economy*« w Pensylwanii, nad rzeką Ohio, i tam się tak zagospodarowali, że mimo licznych przenosin poprzednich, wkrótce zakupili mnóstwo ziemi, nawet w dalszych stronach, posiadają kopalnie węgla i nafty, koleje żelazne i fabryki, a między innemi największą w Stanach Zjednocz. fabrykę nożów w Beaver Falls. „Gdziekolwiek oni osiedli, mówi Hinds, pustkowia zaczęły kwitnąć *(they made the wilderness blossom as the rose)*, a w około powstały sady i winnice, i pola dziwnie żyzne.“

Gdy w r. 1826 książę sasko - wejmarski zwiedzał *Economy*, zachwycał się pięknością i rozwojem tej osady, „każdy dom był zajęty, każda fabryka pełna życia i ruchu. Było tam muzeum z kosztownymi obrazami, a na uprawę muzyki wiele starań łożono. Sześćdziesiąt do siedmdziesiąt dziewcząt zbierało się w jednej z sal fabrycznych i śpiewało świeckie i duchowne arje w sposób zachwycający. Byłem prawdziwie wzruszony — mówi książę — tem zajmującem widowiskiem. Fabryki ich były opalane w zimie za pomocą rur połączonych z kotłem parowym, a wszyscy robotnicy mieli wesołe twarze i zdrową cerę i zachwycali mnie szczerą uprzejmością, z jaką witali starszego Rappa.“

Ten to *Rapp* (Jerzy) był założycielem i wówczas głową Economy, i używał wielkiego u swoich poważania

Kwitnący stan komuny tej ucierpiał nieco później, gdy się tam pojawił oszust niemiecki *Müller* i pod pretekstem jakiejś boskiej misji, wzniecił niezgodę między członkami, skutkiem której część ich opuściła *Economy* i osiadła w dwu innych miejscowościach, które otrzymały nazwy *Bethel* i *Zoar*.

Harmoniści przyjęli celibat w r. 1807 na mocy dobrowolnej zgody młodszych członków. W skutek tego komuna ich nie ma przyszłości, gdyż znajduje się, rzec można, na etacie wymierającym.

W dziejach osad harmonistycznych jest ten epizod o tyle dla nas ciekawy, że dotyczy próby praktycznej sławnego komunisty angielskiego *Roberta Owena*.

Zanim Harmoniści, czyli jak się zwą „Rappiści“, osiedli w Economy, posiadali kolonię *New - Harmony* w Indjanie, obejmującą 30,000 akrów ziemi. W tym właśnie czasie Owen, doznawszy tysiącznych zawodów w swojej ojczyźnie, powziął myśl spróbować szczęścia na dziewiczej ziemi Ameryki i w tym zamiarze przybył do New-Harmony w r. 1824. Warunki naturalne zdawały się odpowiadać urzeczywistnieniu jego planów. Kupił więc kolonię od Rappistów, a sam pospieszył do Washingtonu, gdzie za zezwoleniem prezydenta rozwinął swoje ideje przed zgromadzonym kongresem. „Nowy właściciel New - Harmony wyrażał się tam z otwartością i swobodą, które mu były właściwe; zgromadzenie jednak, ile się zdawało, nie miało dla niego nic, prócz dostatecznej uwagi i pewnego rodzaju ciekawości. Ameryka podobnie jak Europa, miała niewątpliwie swoje skrupuły religijne i przesądy polityczne; tam jednak przynajmniej żywiono szacunek dla każdej opinji uczciwej.“ *) Natomiast po za kongresem znalazł Owen poklask, który fatalny dla niego wziął obrót. Zgłosiło się bowiem do niego takie mnóstwo żywiołów wątpliwej wartości i t. zw. „katylinarnych“ egzystencji, że odrazu musiał zarzucić plan zrobienia z New-Harmony zupełnie komunistycznej osady, a ograniczył się tylko na urządzeniu „gminy przygotowawczej“.

Gospodarstwo w New-Harmony nie wiodło się z wyżej wskazanych powodów. „Jednakowoż, mówi p. L. *Reybaud*, należy mu oddać tę sprawiedliwość, że pominąwszy doznane zawody, zdołano tam odtworzyć i wykończyć część dobrodziejstw, osiągniętych poprzednio w New-Lanark (kolonia szkockich robotników, założona przez Owena). Dzieci, w których tak wielkie pokładał nadzieje, doznawały tam szczególnej opieki; udoskonalano tam metody wychowania i doprowadzono do tego, że sami młodzieńcy dokonali dzieła, do którego przedtem napróżno zabierali się dojrzali mężczyzni: eksploatacji rolniczej, prowadzonej jednolicie i z zapałem. Potworzyły się spółki rzemieślnicze i rolnicze, a mały zastęp wyborowych ludzi, który się był zebrał pod egidą Owena, usiłował bezustannie złagodzić i ucywilizować półdziką ludność kolonii... Mimo to p. Owen nie był zadowolony z swojej próby. Musiał on staczać długie i zacięte walki z obskurantyzmem religijnym, uosobionym w niejakim p. *Campbell*, fanatycznym metodyście, który obwieścił był kompletną krucjatę przeciw Owe-

*) Reybaud »Etudes sur les Reformateurs« 7me édit. Paris 1864.

*

nistom. Gospodarstwo również nie wiodło się finansowo, i wreszcie powiedział sobie Owen po tych doświadczeniach, że dopokąd nie uda się zreformować moralność powszechną, nigdy się nie udadzą praktyczne usiłowania w tym kierunku i że lepiej jest działać za pośrednictwem teorji na ogół ludzkości, aniżeli przez praktykę w małych ogniskach doświadczalnych.“ Z tą myślą opuścił Owen Amerykę.

My zaś wróćmy jeszcze do naszych komun amerykańskich.

Gminy *Prawdziwej inspiracji* w stanie Jowa są również oparte na religji i składają się z samych Niemców. Jest ich tam 1450, i mają około 25,000 akrów ziemi. Główna ich siedziba nazywa się *Amana*, podług słów Salomonowej „Pieśni nad Pieśniami“: „Pójdziesz ze mną z Libanu, o oblubienico moja! ze mną z Libanu pójdziesz, a spojrzysz z wierzchu góry *Amana*, z wierzchu góry Sanis i Hermon, z jaskiń lwich i z gór lampartowych.“

Urządzenie Amany przypomina „Harmonistów“, tylko że *tu nie masz celibatu*. Wychwalają znakomite urządzenia gospodarskie Amany. Jest tam między innemi kanał irygacyjny na 6 mil angielskich długości.

Perfekcjoniści, również sekta religijna, są pochodzenia amerykańskiego. Mają dwie osady; *Oneida* i *Wallingford* w stanie Nowo-Yorkskim. Założycielem ich i dotychczasowym naczelnikiem jest Sir *John Humphrey Noyes* autor dzieła *History of American Socialisms* (Philadelphia & London 1878). Już wyżej powiedzieliśmy, że u tej sekty nie masz właściwego małżeństwa, a zastępuje je wolny związek osób płci obojej.

Oneida i Wallingford znajdują się w stanie nader kwitnącym i zwiększają się ustawicznie zukupując co raz to więcej ziemi, i zakładając fabryki. Jest tam wielka przędzalnia jedwabiu, farbiarnia, hamernia, i liczne fabryki maszyn. Roczna produkcja przędzy jedwabnej wynosi 200,000 dolarów wartości.

Perfekcjoniści mają znakomite urządzenia wychowawcze i uprawiają muzykę. Młodzi mężczyźni w wieku lat 22 do 25 wysyłani bywają na uniwersytety, gdzie się uczą medycyny, budownictwa, inżynierji i prawa.

Oryginalną instytucją Perfekcjonistów jest t. zw. „krytycyzm.“ Od czasu do czasu zbierają się członkowie gminy, a jeden z jej członków występuje na środek, aby wysłuchać ujemnych zdań, które o nim wygłaszają inni członkowie.

Na przymówki, chociażby i najostrzejsze, nie odpowiada „krytykowany“ w ten sposób, ani słowem, a na końcu posiedzenia, przewodniczący wyciąga rezultat z całej „krytyki“. Któż przytem nie przypomni sobie znanej u nas gry towarzyskiej, zwanej „cenzurą?“ Perfekcjoniści przykładają wielką wagę do „krytycyzmu“ i uważają tę instytucję za bardzo zbawienną.

Ikaria jest zakładem czysto francuskim bez przymieszek religijnych. Znajduje się ona w stanie Jowa. Założycielem jest słynny komunista francuski *Etienne Cabet*, autor dzieła *Voyage en Icarie* *).

Przed samym wybuchem rewolucji lutowej Cabet, zebrawszy garstkę wiernych zwolenników udał się do Ameryki w podobnym zamiarze jak Owen, lecz napotkał więcej jeszcze od niego trudności. Sam wybuch rewolucji we Francji, o którym się w drodze dowiedział, zdemoralizował jego ludzi, którzy nie mogli znieść myśli, że pozostawszy w domu, mogliby może u siebie zrobić to co chcieli poczynać w Ameryce.

Po niejakich walkach, udało się jednak Cabetowi osiedlić w Illinois i zyskiwał coraz więcej zwolenników i w krótkim czasie miał już 1500 członków. W kilka lat później gromada ta podzieliła się: Część osiadła w *Cheltentam* (St. Louis), inni udali się do Stanu Jawa i tam założyli *Ikarię*, która dotychczas istnieje.

Ikaria liczy obecnie 83 członków, posiada przeszło 2000 akrów ziemi, 60,000 dolarów majątku obciążonego 4000 dol. długów. W r. 1855 kolonia liczyła już 500 członków.

Gospodarstwo w gminie jest wzorowe, i zdaje się, że teraz po przebyciu najcięższych czasów stan jej będzie coraz lepszym.

Życie, jak zwykle u Francuzów, nadzwyczaj wesołe. W niedzielę zbierają się na wspólne zabawy i odczyty. Te ostatnie są świeckie, gdyż Cabetyści nie wyznają innej religji prócz komunizmu. Czytają ustępy z dzieł Cabeta i t. p. deklamują i śpiewają pieśni o wolności i ludzkości jak n. p.

«Travailleurs de la grande cause,
«Soyons fiers de notre destin;
«L' egoiste seul se répose,
«Travaillons pour le genre humain!»

Naoczny świadek (Hinds) był ogromnie wzruszony deklamacją 15letniej dziewczyny, którą słyszał na jednem z owych zebrań. Z nader głębokiem uczuciem wygłasza, ona słowa:

«Mes frères, il est temps, que les haines s'oublient:
Que sous un seul drapeau les peuples se rallient;
Le chemin du salut va pour nous s'applanir.
La grande liberté, que l' Humanité rêve,
Comme un nouveau soleil, radiense, se leve
Sur l' horizon de l'avenir.»

Jedną z najnowszych kreacyj komunistycznych jest gmina w *Cedar Vale* w Howard County Kansas, założona w r 1874 przez ludzi najrozmaitszego kalibru; jest tam naprz. lekarz-spiry.ysta, ksiądz „zreformowany“, rosyjski rzeźbiarz i rosyjski astronom. Wszystko jeszcze w zawiązku. Członkowie zobowiązują się żyć podług zasad zawartych, w czterowierszu:

«For the cause that lacks assistance,
For the wrong that needs resistance,
For the future in the distance,
And the good, that we cau do.»

Ci komuniści przyjęli wspólność mienia, bez wspólnosci wyznania religijnego.

Przeszliśmy większą część komun amerykańskich i znamy w głównych zarysach typy takowych.

Na zakończenie wyjmiemy jeszcze niektóre ogólne poglądy z dzieła p. Nordhoffa.

Ze wszzstkich komun, dwie tylko zostają dotąd pod bezpośrednim wpływem swych założycieli. Jest tedy niesłusznem twierdzenie, że komuna nie może istnieć bez osobistego wpływu założyciela.

Idea religijna nie jest koniecznie potrzebną do życia i rozwoju komuny, jak świadczy „Ikaria“ i inne podobne gminy.

Gospodarstwo kwitnie we wszystkich prawie gminach, a w domu komfort i przyjemne pożycie odbija korzystnie od sąsiednich osad. Stanowisko kobiet przedewszystkiem jest nierównie korzystniejsze i godniejsze.

Komuniści żyją bardzo długo. „Nie wątpię — mówi Nordhoff — że komuniści z całej naszej ludności żyją najdłużej. Jest to naturalnem: Wszyscy pracują, ale nie do znużenia, tylko w miarę, żyją regularnie i wygodnie, na starość otrzymują dobre zaopatrzenie, a w razie choroby nie potrzebują pracować. Wiek 80-letni jest bardzo zwykłym między komunistami. W każdej komunie, z wyjątkiem może jednej Ikarji, spotykałem ludzi mających lat 90, jeszcze rzezkich i czynnych.

Wszystkie komuny ściśle przestrzegają zasadę: unikać długów i przedsiębiorstw spekulacyjnych. Zadowalają się małymi zyskami i wolą zmniejszać wydatki, aniżeli powiększać dochody.

Pan Nordhoff twierdzi wreszcie, że jakkolwiek niewłaściwem jest porównywać życie komunistów z życiem ludzi zamożnych w większych miastach, to nawet i takie porównanie wypada na korzyść życia w komunach, gdyż takowe chroni ludzi od licznych głupstw, które my, mianowicie jako niewolnicy mody i t. zw. opinii publicznej, koniecznie popełniać musimy... W porównaniu zaś z życiem robotników miejskich i wiejskich, nie waham się powiedzieć, że komuniści pod wieloma względami prowadzą życie wyższe, lepsze, a nawet przyjemniejsze.

Here, reader, will we panse: — if ther's no harm in
This first — you'll have, perhaps, a second «Carmen.»

L. J.

LISTY T. T. JEŻA.

(Najada. — Apollon. — Kąpiel w stawie. — Co o tem pomyślą czytelnicy? — Irina Semenowna. — Zwyczaje i obyczaje nad Wołgą. — Koloryt miejscowy. — Tissot-Améro a Sacher-Masoch. — Bajka nowoczesna. — Nasz świat a nasza literatura w obec Zachodu. — Nie martwmy się. — Praca pana E. Jelinka. — Ocenienie jej. — Tryb oznajmujący. — Skazówki w bibliografji pana E. Jelinka.

Był staw w części trzciną, wodnem zielem i liliami zarośnięty, w części zwierciadlaną przedstawiający powierzchnię; nad brzegiem jego wierzby płakały i topole na warcie stały, tu widzieć się dawała kępa, ówdzie w głębi grota tajemnicza. Pejzaż pełen ponętności; mimo to ludzie co przechodzili, oczy od pejzażu tego odwracali. Czemu? — Z powodu Najady, która się w stawie kąpała. Najada owa była to dziewica młoda, blondynka jasna, radosna, wesoła, śliczna przytem, rzucająca na echa śmiech srebrzysty i goluteńka. Znajdowała się ona właściwie nie w wodzie, ale nad wodą, na grzbiecie niedźwiedzia w postaci człowieczej, zwanego Apollon, który jej służył za trytona, był jednak człowiekiem od stóp do głowy i jak ona nie miał na sobie odzienia żadnego, a odznaczał się budową ciała atletyczną i muskularnością potworną niemal. Cóż ona na nim dokazywała!... To wsiadała mu na kark; to znów kładła się trytonowi na wznak na grzbiecie i płynąć mu kazała; biła go piętami po biodrach, pluskała się, swawoliła, posługiwała się postacią jego w sposób rozmaity; on ją woził na sobie, nosił na rękach; ona się zwracała, wyginała, w końcu przyszło jej na myśl głowę jego, gęstym i twardym obrosłą włosem, w wodne ustroić ziele i uczynić go pięknym prawie. W zielonym wianku i w wodnych liliach,

*) Jest to kompletny system organizacji społecznej w formie romansu, i należy do rzędu t. zw. «Utopij» w guście Tomasza Morusa, Campanelli i i.

Apollon nie przestał Najadzie za trytona służyć. Na upiększeniu tem wszakże nie najlepiej wyszedł, Najada bowiem wyrwała trzcinę długą i poczęła mu takową boki okładać. Biedny cierpiał, mruczał, lecz powodował się ślepo wszelkim fantazjom płowowłosej dziewczyny, która w sposób powyżej opisany długo na kryształowej wód powierzchni igrała, aż spłoszoną została. Na brzegu stawu ukazały się dwie postacie. Popędziła trzciną Apollona — ten ją do groty zaniósł, w grocie nagą złożył i z pośpiechem jak największym podzież jej się udał.

Co też łaskawi czytelnicy myślicie sobie, odczytawszy opis powyższy? Kiedy — zdaje się wam — coś podobnego miejsce mieć mogło? — W czasach chyba mitologicznych. — Gdzie? — Na wodach nie innych, jeno na tych, na których zwykle kąpała się Diana, pławiły Nim'y. Wszak tak? — Owóż nie. Scena kąpielowa powyżej opisana miała miejsce w czasach naszych, w okolicy położonej na prawym brzegu Wołgi, w guberni Samarskiej, we wsi Iwanówka. Najada nazywała się Irina Semenówna, postacie, co ją spłoszyły, były to: ciotka i kapitan, którzy brawo z brzegu jej dali, brawo takie, jakie się daje aktorom w teatrze.

Opis powyższy jest streszczeniem rozdziału pierwszego, jednej z najnowszych powieści francuskich, skreślonej na tle zwyczajów i obyczajów Rosji Europejskiej. W sposób ten przedstawia się bohaterka romansu. Że przedstawia się ona nago, przeciwko temu nie protestujemy; bądź co bądź jednak, kąpiel na Apollonie należy do rodzaju inwencyj poetycznych zanadto hazardownych, bo nie prawdziwych i zarazem nieprawdopodobnych, w odniesieniu do zwyczajów i obyczajów nad Wołgą panujących. Wprowadzoną ona została w celu nadania opowiadaniu kolorytu miejscowego — kolorytu, stanowiącego dla czytelników francuskich urok główny w utworach, których osnowa zaczerpniętą jest z nieznanego im świata. Autorstwa powieści, kolorytem takim podłożonej należy się pp. Victor Tissot i Constant Amero. Powitajmyż w nich nowego Sacher-Masocha, który dla kolorytu także banialuki wypisuje. Panowie Victor Tissot i Constant Amero wzięli na się w obec czytającej francuskiej publiczności rolę Sacher-Masocha, odniesionego do społeczeństwa rosyjskiego. To ostatnie niema czego zazdrościć nam — znalazło i ono osmarowującego je malarza, przedstawiającego reprezentantkę towarzystwa wyższego, jeżdżącą w stroju Ewy na marszałku dworu w stroju Adama.

Czytając brednie podobne niewiadomo czemu się dziwić: czy temu, że autorowie, je tworzą, czy temu, że znajdują one czytelników? Faktem jest, że tak Sacher-Masoch, jak Tissot Amero czytani są bardzo; utwory ich rozchodzą się w ilości egzemplarzy ogromnej; publiczność smakuje w nich, przyznając im tę zasługę, że odkrywają przed nią tajemnice świata nieznanego. Nieznanego i niebyłego — powiedzmy, a odznaczającego się jeno nadzwyczajnością, nadającą koloryt jaskrawy i zmieniającą powieść w bajkę. Ztąd wynika, że społeczność ostatniej wieku XIX. ćwierci, społeczność ucywilizowana, pozostająca pod zarzutem materjalizmu, pozytywizmu, darwinizmu, że społeczność ta, goni za bajkami i brać się daje na lep wymysłów fantastycznych, mało różniących się od tych, na podstawie których formowała się umysłowo społeczność pierwotna. Zadziwiającem jest to; bardziej jednak jeszcze zadziwia ta okoliczność, że publiczność, której o poznanie świata nieznanego chodzi, istotnym w świecie tym stanem rzeczy nie interesuje się wcale. Czyta Tissot-Améra, czyta Sacher-Masocha, czyta autorów i innych, płodzących rzeczy niestworzone; ale przetłumacz dla niej autora polskiego malującego świat swój takim, jakim on w rzeczywistości jest, ani go do ręki weźmie.

Na tłomaczenia z polskiego popytu nie ma najmniejszego. Świat nasz pod warunkiem, ażeby się w nim działy rzeczy nadzwyczajne, istnieje dla Francuzów, dla Niemców, etc.; literatura jednak nasza nie istnieje dla nich — wiedzieć o niej nie chcą — nie wierzą w nią. Upokarzającem jest to dla nas trochę: cóż począć jednak! — poprawić się?.. Dodać wszakże należy, iż usposobienie to, to nastrój chwilowy, odnoszący się do racyj przemijających. Okoliczności go sprowadziłyi okoliczności odprowadzą; to zaś, że się zajmują światem ze strony fantastycznej, daje rękojmię, że, po przeminięciu nastroju, zajmą się tymże światem ze strony rzeczywistej. Porządkiem tym idą rzeczy ludzkie. Niech nas przeto ta Francuzów, Niemców, ect. obojętność dla literatury polskiej nie martwi zgoła. Jest ona chwilową i okolicznościową.

Obok obojętności tej atoli zanotować potrzeba objaw pocieszający zajęcia, jakie literatura nasza wzbudza śród pobratymców naszych najbliższych, Czechów. Ci dowiadują się o nas i tłumaczą nas. Tygodni temu parę dramat Bron. Grabowskiego, „Królewicz Marko,“ występował na deskach teatru w Pradze. —Wyraźniejsze jednak świadectwo we względzie tym daje praca korespondenta do pism polskich, p. Edwarda Jelinka, wydana przez Akademję Umiejętności w Krakowie pod tytułem: „Bibliografja dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich, zebrana do końca 1877 r.“ Autor opatrzył ją wstępem, a w tym zaznaczył działalność na polu „wzajemnej wspólnej nauki“ Wacł. Hanki, Szafarzyka, Jana Kollara, Karola Hawliczka, słusznie czyniąc uwagę, „że pisarze czescy mieli od dawna o swych pobratymcach wiadomości dokładniejsze niż którykolwiek inny naród“ — niż my naprzykład, o Czechach. Literatura czeska, naukowa i nadobna, rozwija się szybko, prawidłowo i pięknie, a nierzadko zawiera w sobie punktów dużo, na których pomiędzy Czechami a nami zachodzi spólność w odniesieniu tak do przeszłości jak do teraźniejszości, i dzięki spólności tej my im, oni nam we względzie niejednym służyć możemy za miarę porównania. Wypadałoby nam więc pilniej nieco śledzić za ruchem piśmiennictwa w Czechach, wywzajemniając się pobratymcom naszym za interesowanie się nami, świadczące się szeregiem poważnym autorów, wymienionych w „Bibljografji“ pana E. Jelinka. W ocenieniu pracy tej wyręczymy się słowami autora: „Polskim uczonym — powiada p. E. J. — trudniącym się naukami ojczystemi, mógłby może taki przegląd bibljograficzny dotyczący się Polski i wzajemnych stosunków z Czechami być pożądany, bo daje liczne wskazówki mniej albo więcej ważne. Tyle przynajmniej wiadomo i pewno, że z przyczyny nieświadomości albo niedostępności źródeł nie jedna praca nie jest tak dokładną, jakby być mogła i powinna.“ Słowa powyższe powtórzyć możemy na rachunek własny, zmieniając jeno w okresie pierwszym tryb przypuszczający, w jakim użyty został czasownik „módz“ na oznajmujący. Taki przegląd bibljograficzny nie „mógłby może“ ale stanowczo „może“ dla uczonych polskich być pożądanym i pożytecznym, jeżeli z onego korzystać zechcą. Znajdują się w nim wskazówki historyczne, odnoszące się do pierwszej połowy wieku XVIgo; w czasach zaś ostatnich widocznem jest ustawiczne za literaturą polską śledzenie. Czechowie posiadają historję literatury naszej; mają gramatykę polską, słownik języka polskiego; studjowali nasze pieśni, nasze zwyczaje, historję naszą; o pracownikach na niwie literatury polskiej, o każdym prawie pisali, biorąc go na karb tej słowiańskiej wzajemności naukowo-literackiej, do której J. Kollar nawoływał, którą praktykują oni dopiero jedni, a która tem się zaleca, że nie przynosząc żadnemu z plemion szczepu słowiańskiego szkody najmniejszej, przynieść by mogła korzyść nie małą każdemu z osobna i wszystkim razem.

Kronika Tygodniowa.

(Sprawa szkół ludowych w Sejmie. — Anegdoty sejmowe. — «Ziarno Warszawskie.» — Nowe upiększenia miasta Lwowa. — Egzamina. — Wyścigi konne we Lwowie i Warszawie.)

Rozprawy w sejmie stały się w bieżącym tygodniu niezmiernie interesującemi. Przyszło na porządek dzienny sprawozdanie komisji budżetowej w sprawach szkolnych i wszystkie obozy wysłały bojowników, aby o kierunek wychowania elementarnego wytoczyli walkę zasadniczą. Walka też rozpoczęła się ożywiona i najlepsi mówcy brali w niej udział. Rozpoczął poseł Rey napaściami na istniejące obecnie szkoły ludowe, sekundowali mu Stańczycy, a obronę dzielnie prowadzili pp. Hausner, Sawczyński, Romanowicz, Dzieduszycki i inni, należący do różnych odcieni obozu postępowego. Dawno nie słyszano już w sejmie mów tak pięknych, tak opracowanych i tak obmyślanych. Popisy retoryczne szły na wyścigi. Skończyło się, jak tego zresztą spodziewać się można było, na tem, że budżet szkolny, w brzmieniu sprawozdania budżetowej komisji, został uchwalony. Uszczuplono znacznie fundusze na oświatę ludową. Między innemi wykreślono 5000 zł. na biblioteczki i 60,000 na budynki szkolne. „Pamiętajmyż o tem panowie“ mówił poseł Hausner „pamiętajmy o tem, gdy będziemy uchwalali wsparcie dla półwarjatów i dary z łaski dla procesowiczów, że te datki czynimy kosztem budynków i biblioteczek szkolnych.“

Z całego przebiegu rozpraw przekonać się można było, że wsteczny duch wieje z większości reprezentacji kraju... Czy to wesołe?...

* * *

Fizjonomia ogólna sejmu podczas rozpraw tego tygodnia, była bardzo ożywioną. Posłowie skupiali się około mówców i z nadzwyczajną uwagą słuchano każdego słówka. Nie obeszło się bez epizodów wesołych i charakterystycznych.

Gdy potrącono o nauczycieli ludowych przy sposobności „Sokoła“, stowarzyszenia gimnastycznego żądającego subwencji, to naturalnie i głód nauczycielski przyszedł na porządek dzienny. Poseł ksiądz Jasieniecki, jeden ze zwolenników oszczędności ruszył konceptem, że gimnastyka zwiększa apetyt, a więc nie jest stosowną wobec smutnych stosunków finansowych nauczy-

cieli. Było to punktem wyjścia dla wesołej dyskusji i poseł Golejewski z właściwą sobie werwą objaśnił ks. Jasienieckiego, że fałszywie rozumie gimnastykę, jeśli ją porównywa z tem, jak parobcy wybiegną na łąkę i tam koziołki wyprawiają, borykają się, a potem ogromnego dostają apetytu.

Dobrym był kalambur p. Hausnera, który porównał komisję budżetową wykreślającą 5000 złr. na bibljoteczki szkół ludowych z Omarem. „Nie pali ona wprawdzie, lecz *odpala* bibljoteki."

Lecz ze wszystkich największego *gaudium* przyczyną był p. burmistrz Zyblikiewicz. Spór jego z woźnym zapalającym lampy, homeryczny śmiech wywoływał. A potem przy rozprawie szkolnej, sangwiniczny poseł nie mógł chwilki usiedzieć spokojnie i prawdziwą uciechę galerji sprawiał ciągłem rzucaniem się, obracaniem w kółko na własnem siedzeniu i zmianą barwy, która w wybitniejszych ustępach mów Hausnera i Romanowicza przechodziła z bladoróżowego odcienia do fioletowego prawie. Przerywał ile tylko mógł i słychać było ciągle jego uwagi. Że to zabawne, to wątpliwości nie ulega, ale czy przyzwoite, to rzecz inna.

Chcielibyśmy zobaczyć jakby też wyglądało, gdyby raz p. Zyblikiewicza zamknięto na jaki tydzień razem w jednym pokoju z p. Krukowieckim i kazano dajmy na to opracować im razem przez ten czas projekt reformy szkolnictwa ludowego. Co też by po nich zostało?

* * *

Wyszło nareszcie owe „Ziarno" tak długo oczekiwane i przygotowywane. Jest to spory zeszyt, wielkości warszawskich pism ilustrowanych, i trzeba kilku godzin na to, aby go w całości przeczytać. Zbiór aforyzmów jest niezmiernie interesujący i pouczający. Zdamy o nim sprawę, gdy już czytelnicy Tygodnia będą mieli w rękach tę jednodniówkę. Do kupowania zachęcać nie potrzebujemy, bo sam cel jest dostateczną zachętą, a jak się dowiadujemy, rozprzedaż idzie wyśmienicie. Wyliczamy tutaj nazwiska autorów, którzy swe przyczynki ze Lwowa nadesłali: Abakanowicz, Borkowski Leszek, dr. Biesiadecki, Bodakowski, Chłędowski, B. Czerwieński, J. Dobrzański, Fredro, Hausner, A. Jasiński, Kostecki, Komorowski, Kleczewski, Kętrzyński, Kantecki, Krówczyński, Kubala, Lam, Liske, Ładnowski, W. Łoziński, Małecki, Ochorowicz, Rodoć, Smochowski, Supiński, Szmitt, Sapieha, Stanecki, Starkel, Tretiak, Urbański, Węclewski, Wilczyński, Zawadzki, Zacharjewicz, dr. Zajączkowski, Żmurko. Razem osób 40.

* * *

(B) Ze świata artystycznego zanotować nam należy kilka nowości, które w niedługim czasie staną i prawdziwą miasta naszego ozdobą będą. Przedewszystkiem wspomnieć nam należy o pięknym pomniku Grottgera, który już w tym roku kościół OO. Dominikanów przyozdobi. Zaszczytnie znany autor profesor Gadomski, z prawdziwie artystyczną ofiarnością, bez względu na skromne fundusze, które skąpo w drodze składek płyną, dzieło swoje kontynuje.

Pomnik przedstawia figurę sławy, wieńczącą portret — medaljon — genialnego artysty. Prace około pomnika na grobie ś. p. Goszczyńskiego z całą gorliwością ze strony wykonawcy rozpoczęte. Mimo to jednak, sprawa pomnika żółwim prawdziwie krokiem idzie. Koniecznem, naglącem nawet jest, aby komitet pomnika dokompletował się osobą którego z rzeczoznawców. Komitet bowiem w osobie ś. p. Edwarda Błotnickiego stracił gorliwego pracownika, który częścią sam jako rzeczoznawca, często poparty uwagami artystów, z którymi go rozliczne węzły łączyły, przeważny wpływ wywierał. Raz jeszcze zwracamy uwagę komitetu na konieczną potrzebę tego — oby głos nasz nie był głosem wołającego na puszczy.

— Ulica Mickiewicza zostanie niedługo przyozdobioną pięknym biustem wieszcza, którego nazwę nosi. Popiersie stanie na frontonie kamienicy p. Richtmana, któremu się słuszna za to podzięka należy. Biust nieśmiertelnego wieszcza wykonywuje prof. Marconi. Nazwisko artysty daje nam dostateczną rękojmię doskonałego wykonania.

Gmach sejmowy rośnie, lecz nie bardzo upiększa się. Całą nadzieję pokładamy na pracach artystów - rzeźbiarzy. Z pomiędzy tychże przybył już tutaj p. Zygmunt Trembecki, który z całą gorliwością zajął się wykonaniem poruczonych sobie prac w kamieniu podług modeli w Wiedniu wykonanych. Z pomiędzy tych model figury „Wiary" i grupa królów „Mieczysława i Kazimierza W." na szczególną uwagę zasługują.

* * *

W ubiegłym tygodniu, w dniach 28 i 30 z. m. w obecności inspektora szkół p. Bolesława Baranowskiego, jakoteż profesorów i przedstawicieli świata literackiego, odbył się doroczny egzamin uczennic wyższego zakładu wychowawczego pani Felicji z Wasilewskich Boberskiej.

Nazwisko p. Boberskiej tak jest naszemu ogółowi znanem, że o zasługach jej na polu pedagogiczno-wychowawczem rozpisywać się nie będziemy. Zaznaczyć jedynie chcemy, że uczennice w odpowiedziach na zadawane im pytania dowiodły, że nie tylko uczyć się, ale i myśleć umieją — a biegłość ich w językach francuskim i niemieckim była zadziwiającą.

Wielką nam również przyjemność sprawiło odczytanie wypracowań uczennic najwyższej klasy, z dziedziny pedagogiki, estetyki i historji polskiej. Znać z nich było, iż młode umysły pod dobrem znajdują się kierownictwem.

* * *

Wyścigi konne u nas z każdym rokiem mniej sprowadzają ciekawych. W tym roku przeszły one prawie niepostrzeżenie. Szersza publiczność mało brała udziału w zabawie. Dzienniki żadnych prawie nie dały sprawozdań. Spowszedniały już one, i interesują chyba tylko panów właścicieli koni angielskich. Nie będziemy też wymieniać który z Forest-king'ów lub Holiday'ów pierwszy stawał u mety. Rzadzcy ciekawi wiedzą już o tem ze wzmianek dziennikarskich. Zdaniem naszem obojętność ogółu dla wyścigów pochodzi z ich jednostronności. Wyścigi lwowskie, takie jak są dotąd, nie mają celu praktycznego.

Inaczej dzieje się w Warszawie. Tam obok angielskich kościstych szkap, więcej do charta aniżeli do konia podobnych, stają w szranki jeźdzcy polscy, a nawet włościanie. W roku bieżącym wyścigi w Warszawie odbywały się jednocześnie z wystawą koni. Było ich przeszło 360, począwszy od bronowłoki aż do najognistszego rumaka, a wszystko nie importowane, lecz zrodzone i wyhodowane w kraju, rasy polskiej, krajowej, a dalej arabskiej i angielskiej, tej ostatniej, najmniej. Stajnie p. Bobrowskiego z pod Lublina i ordynata Ludwika hr. Krasińskiego zyskały poklask ogólny. Wystawa połączoną była z popisem praktycznym. Popisywały się konie pociągowe, cugowe, przeznaczone do kawalerji lub polowania, a nareszcie włościańskie. Codzień młodzi panowie składali dawody siły i zręczności, bądź to powożąc czterma końmi i w całym pędzie osadzając je na miejscu jak wryte, bądź dosiadając wierzchowców i wyprawiając najszaleńsze harce, których z pewnością pozazdrościłby najzuchwalszy Part starożytny. Były to prawdziwe igrzyska Olimpijskie polskiego rodzaju. Żywo przypomniały czasy, w których Czarnecki wojewoda kazał *pierwszemu lepszemu* husarzowi złożyć się w całym pędzie kopią do elektora brandenburskiego; husarz poleciał, złożył się i osadził konia, a ostrze grota było o cal od piersi elektora; drgnął elektor zdumiały. W igrzyskach tych odznaczył się najbardziej pan Stanisław Niemojewski z Kaliskiego. Nikt mu nie dorównał w jeździe konnej. Z taką jeździł swobodą, że najniebezpieczniejsze przesadzania przez najrozmaitsze przeszkody, nie sprawiały dla widzów przestrachu. Za każdą razą gdy pojawił się w szrankach, kobiety zasypywały go kwiatami. Słynny Kossak, mistrz w malowaniu koni i jeźdźców, zrobił szkic z Niemojewskiego i przedstawi go wkrótce farbami wodnemi. W turniejach tych brali też udział oficerowie rosyjscy, ale pomimo, że i między nimi nie brak dobrych jeźdźców, daleko pozostali w tyle. Nawet petersburskie gazety przyznały Niemojewskiemu palmę pierwszeństwa — choć nie bez tajonej zazdrości. Podobna wystawa koni połączona z popisami — koni roboczych, wierzchowych i cugowych — przynosi niezawodną korzyść. Nie jest to zabawa hrabiowska — ale praca polska. Podobnych wystaw i popisów, szczerze życzymy Galicji. Bez wyścigów takich jak teraz obejdzie się snadnie.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** »*Śpiewnik polski* dla ochronek, szkół ludowych i wydziałowych." Pod tym tytułem p. Jan Czubski, nauczyciel przy seminarjum nauczycielskiem męzkiem we Lwowie, rozpoczął wydawnictwo, które zapełni lukę uczuwać się dającą w tym dziale piśmiennictwa szkolnego. Obecnie wyszła Śpiewnika część I. dla ochronek i klasy I., zawierająca 52 wierszyków treści religijnej i obyczajowej, do których p. C. podłożył muzykę częścią ze znanych tematów ludowych, częścią własnej swojej kompozycji. Treść wierszyków jest nader szczęśliwie zastosowana do pojęć dziecinnych, muzyka zaś łatwa, odpowiednia do tekstu i miła — co razem czyni Śpiewnik pana Czubskiego udatnym i prawdziwie pożytecznym podręcznikiem.

*** Staraniem wydawnictwa, którem kieruje prof. A. Pawiński, a które poznało nas z klasycznem dziełem Macaulaya w dziesięciu tomach „Dzieje Anglji," z pracą Zeissberga „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich" (2 tomy), wreszcie z „Pamiętnikami Matuszewicza" w 4 tomach, drukuje się obecnie w Warszawie w drukarni Bergera dzieło Szujskiego p. n.: „Historji Polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście."

Będzie to dzieło w jednym tomie o 30 arkuszach druku.

*** Pojawiło się dzieło dra Bolesława Skórczewskiego, lekarza zdrojowego w Krynicy: „Dyetetyka

kąpielowa, czyli nauka jak zachować się należy podczas leczenia w zdrojowiskach".

Książka ta przybywa na czasie, gdyż wiadomo, że najlepiej dobrane wody nie skutkują, jeżeli działaniu ich nie przyjdzie się z pomocą należycie przestrzeganą djetyką.

Autor oparł swe dzieło na dokładnem przedstawieniu fizjologicznych czynności ustroju i zboczeń tychże, czyli chorób.

Na takim gruncie wszystkie następne uwagi fachowego autora, oparte na wielostronnej erudycji lekarskiej i doświadczeniach praktycznych, łatwiej się rozumieją, tak, że książka dra Skórczewskiego ma cechę prawdziwie popularną.

⁂ W Warszawie młodzież uniwersytecka wydziału filologicznego i kilku ludzi dobrej woli po za wszechnicą, powzięli projekt ułożenia słownika czeskiego na wzór dzieła Jungmana, z uzupełnieniami, których sam czas wymaga. Słownika takiego brak u nas zupełny.

⁂ Najnowsza komedja W. L. Wdowiszewskiego „Szambelani," tłómaczoną już jest na język czeski.

⁂ Staraniem pp. Juljusza Sypniewskiego i F. O. Wilkońskiego ułożona i wydana została pierwsza część księgi I publikacji pod napisem „Księga stad."

Cała rzecz składać się ma z czterech ksiąg.

Księga I zajmuje się owcami, druga obejmie konie, trzecia — bydło, czwarta — świnie, drób, psy i króliki.

Dzieło to ma na celu zestawienie danych o źródłach krajowych krwi czystej, zkąd czerpać mogą materjał hodowlany osoby interesowane, nie potrzebując udawać się za granicę i tam płacić bajecznych cen.

Wydawcy oświadczają najsolenniej, iż księga stad" nie będzie przedsiębiorstwem anonsowem i że jedynie stada posiadające dokumenta szlachetnego pochodzenia znajdą w niej gościnne przyjęcie.

Część I. zajmuje się owczarniami z przeważną dążnością do produkcji wełny sukienniczej i czesankowej.

Sądzimy, iż rzecz ta, prowadzona sumiennie i umiejętnie, oddać może ważną gospodarzom naszym usługę i zaradzić pilnej potrzebie.

⁂ W Niemczech wychodzić zaczęło zeszytami nader cenne wydawnictwo p. t.: „Wiek XIX-ty; obraz najważniejszych zjawisk na polu historji, sztuki, umiejętności, wynalazków i przemysłu naszego stulecia."

Autorem tego dzieła, które stanie się historyczną encyklopedją całej cywilizacji bieżącego stulecia, jest wysoko w Niemczech ceniony polihistor i estetyk Otto Leixner, a wydawcą Engelhorn w Sztuttgarcie.

W tym ogólnym przeglądzie prasy naszego wieku pomieści się historja polityczna i społeczna narodów cywilizacyjnych, portrety najwybitniejszych ludzi, dzieje rozwoju poezji, literatury, nauk i umiejętności, zdobycze techniki współczesnej, historja dziennikarstwa i t. p., a wszystko to wyłożone w związku wytycznych idei i duchowych prądów stulecia.

Illustracje wykonane z rzadką starannością i przepychem.

Jeden z literatów warszawskich zajął się przyswojeniem literaturze krajowej tego wybornego dzieła i szuka tylko nakładcy.

Nauka.

⁂ Gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego liczy 7,072 okazów; w ostatnich czasach nadesłał Bronisław Garczyński paręset monet, a Twardowski rysunki wykopalisk z Wielkopolski.

⁂ Dr. Władysław Ochenkowski, prof. ekonomii politycznej w Jena, przyjął katedrę tegoż przedmiotu w akademji w Münster w Westfalji.

⁂ Liczba szkół i uczni w Europie. Niemcy na 42.000.000 mają 60.000 szkół, do których uczęszcza 3.000 000 uczni; Anglja i Irlandja na 34.000.000 mieszkańców ma 58.000 szkół, do których uczęszcza 3.000 000 uczni; Austro-Węgry na 37.000.000 mieszk. mają 30.000 szkół, do których uczęszcza 3.000.000 uczni; Francja na 37.000.000 mieszkańców ma 71.000 szkół, do których uczęszcza 4.700.000 uczni; Hiszpanja na 17.000.000 mieszk. ma 20.000 szkół, do których uczęszcza 1.600.000 uczni; Włochy na 28.000.000 mieszk. mają 47.000 szkół, do których uczęszcza 1.900.000 uczni; Rosja (z Polską) na 74.000.000 mieszk. ma 31.000 szkół, do których uczęszcza 1.100.000 uczni.

⁂ Akademja francuska przyznała nagrodę Monthyona Edmundowi Chojeckiemu (Charles Edmond) za powieść p. t. „Zephyrin Cazavan en Egypte", drukowaną pierwotnie w feljetonie „Temps".

⁂ Na uniwersytecie wrocławskim na 1255 studentów, liczy się 209 z W. Ks. Poznańskiego.

Sztuki Piękne.

⁂ W Londynie, w pałacu kryształowym wystawione są „Pochodnie Nerona" Siemiradzkiego zyskawszy ogólne uznanie publicystyki.

⁂ Franciszek Żmurko, utalentowany twórca „Kleopatry," wystawił w krakowskim salonie Towarzysta sztuk pięknych nowy swój obraz: „Kazimierz Wielki i Esterka."

Obraz przedstawia chwilę, gdy kochanka królewska składa królowi podziękowanie za danie przytułku żydom.

Ma to być utwór niepospolitej piękności zarówno w szlachetnym układzie kompozycji, w doborze szczegółów architektonicznych, jak zwłaszcza w prześlicznej harmonji i upajającej słodyczy kolorytu.

Obraz ten sprowadza na swoją wystawę p. Aleksander Krywult, który właśnie przybył do Warszawy.

⁂ P. Bolesław Syrewicz wykonał model biustu ś. p. Józefa Zamojskiego.

Biust ten wykuty w marmurze kararyjskim zdobić będzie wielką salę nowego gmachu Tow. kred. m. Warszawy

Tegoż artysty biust ś. p. Leopolda Kronenberga i Dominika Zielińskiego dla powyższej instytucji, z marmuru są już na ukończeniu.

⁂ Kustoszem obrazów w galerji Belwederskiej w Wiedniu, został p. Konopacki.

⁂ Czytamy w Kurjerze Warszawskim:
A więc wielki niesłychany sukces...

Marcelina Sembrich-Kochańska wystąpiła w londyńskim *Coventgarden*, na tych „gorących" deskach, po których stąpają zwykle Patti, Nilson i Albani...

Śpiewała „Łucję" wraz z Cotognim i Gayarrem — i zrobiła *furorę*.

Piszą nam z Londynu, że powodzenie polskiej śpiewaczki było „wielkie, kolosalne", że od chwili pierwszego pojawienia się tamże Adeliny Patti, powodzenia tak wielkiego i tak zasłużonego nie pamiętają.

Wieczór sobotni był „największą fetą" obecnego sezonu.

Natychmiast po przedstawieniu, impresario opery w *Coventgarden* zawarł z Kochańską umowę na pięć sezonów.

Równocześnie zaś przedstawiciele oper: madryckiej i londyńskiej rozpoczęli z naszą artystką rokowania.

Tak więc w „galicyjskim słowiku" przybyła światu muzykalnemu Europy nowa gwiazda...

Teraz może uwierzy i ta garstka niedowiarków warszawskich, że Kochańska jest śpiewaczką wielkiego stylu, i że jeżeli śpiewa piosnkę, to nie dla tego, aby się bała oper, a jeżeli śpiewając opery, trzyma się klasycznego repertuaru, to dlatego, bo czuje, że w ustach jej wszystko staje się nowem i jeszcze niesłyszanem.

Tu miejsce zauważyć, że dziś już w dziedzinie sztuki naszej nietylko malarstwo, ale i teatr zaczyna wyrabiać sobie za granicą poważne uznanie i odrębne stanowisko.

Kochańska, Reszkówna, Machwicówna, Mierzwiński, Miller, bracia Reszkowie w operze, a Modrzejowska i Deryńżanka w dramacie zaprezentowali już teatr polski cudzoziemcom różnych stref artystycznych — a ile ich występów, tyle dotąd zapisaliśmy powodzeń.

Sztuka nasza rotszyldowskim kapitałem zaczyna gospodarzyć po Europie.

⁂ Na konkurs dramatyczny miejskiego teatru w Frankfurcie nadesłano 556 sztuk, z których jednak tylko dziesięć przekazanych zostało do ściślejszego ocenienia.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ W Galicji, na 90 miast, utrzymuje 64, a na 208 miasteczek — 45, swoich, własnych lekarzy.

⁂ Kasa Oszczędności król. sal. miasta Bochni, ogłosiła drukiem sprawozdanie z czynności swoich za r. 1879.

⁂ Lasy i folwarki należące do instytucji rolniczo- rzemieślniczej Sztabińskiej, w Kongresówce obejmujące około 8000 morgów, wartości przeszło 1,000,000 złr., mają być z rozporządzenia władz rosyjskich skapitalizowane, to jest sprzedane.

⁂ W Paryżu staraniem grupy paryskich artystek założony został »*Orphelinat des arts.*« Sieroty zarówno prawe jak i nieprawe, po literatach, malarzach, rzeźbiarzach, aktorach itp. znajdą pomieszczenie w urządzonym na ten cel domu. Pomiędzy założycielami są: Krauss, Sara Bernhard, Croizette, Reichemberg, Bouffar i inne.

⁂ W okolicy Ojcowa, w Glanowie p. N. zastrzelił w tych dniach jednego z największych ptaków drapieżnych.

Po strzale spuścił się powoli na ziemię piękny sęp (vultur fulcus), metr wysoki, o trzech metrowem rozpięciu skrzydeł. Ranny był tylko lekko w skrzydło i głowę.

Dwóch ludzi zaledwie zdołało utrzymać olbrzymiego ptaka, który jednego z nich mocno pokaleczył.

Sęp jest w kuracji; głowa goi się dobrze skrzydło jeszcze zwieszone.

Drapieżny ten ptak pożera łakomie po parę funtów mięsa codziennie.

⁂ *Mgły londyńskie* w powszechne weszły przysłowie. Często w dni najpogodniejsze powietrze w mieście jest mgliste, kiedy o parę mil dalej niebo jest błękitne i niezaciemnione. Jakiż więc może być powód tego umiejscowionego i bardzo częstego zjawiska? Znakomity fizyk tamtejszy, p. Frankland podaje następujące wyjaśnienie. Mgła londyńska nie zawsze jest objawem wilgotności, bo często występuje przy suchem względnie powietrzu. Przypisuje on ją raczej wpływowi cieczy oleistej, węglowej, znajdującej się w dymie z węgla kamiennego. Ciecz ta istnieje według niego na powierzchni drobnych pęcherzyków wodnych mgłę tworzących; stanowi ona powłóczkę oleistą powstrzymującą parowanie wody.

W istocie ciecze oleiste wydzielają się w wielkiej ilości w powietrzu przy paleniu węgla kamiennego bitumicznego w ogniskach londyńskich. Sposób zaradzenia temu jest wprawdzie bardzo prosty, ale nie łatwy w zastosowaniu. Dla uniknienia mgły w Londynie, potrzebaby tylko węgiel bitumiczny zastąpić przez materjał nie dający dymu, przez koks naprzykład. Wątpić wszakże należy, czy mieszkańcy zgodziliby się na tę zamianę dla osiągnięcia celu.

Wyścigi w Teheranie.

Jakkolwiek ludy wschodnie od cywilizowanych ludów zachodu różnią się mową, zwyczajami, wykształceniem i t. p., w jednem wszelako zgadzają się najzupełniej, a to mianowicie w zamiłowaniu rozrywek i wystawnych uroczystości publicznych.

Gdzie tylko pogapić się można, gdzie tylko znajdzie się coś ciekawego dla oczu, tam zarówno śpieszy ogładzony Paryżanin, jak i barbarzyński Azjata.

Nic dziwnego też, że w stolicy Persji połowa miejskiej ludności wyległa od samego świtu na plac hippodromu, znajdujący się na zachodzie miasta, poza jedną z dwunastu wjazdowych bram, zbudowanych z kolorowej, glazurowanej cegły; miały się w dniu tym odbyć wyścigi w godzinach przedpołudniowych.

Miejsce przeznaczone na gonitwy jest dosyć

równe, płaskie i najwłaściwiej jeszcze nadające się do takiego użytku.

Hippodrom stanowi arena, około pięćdziesięciu kroków szerokości a dwie mile angielskie długości mająca; otacza ją mur, cztery stopy wysoki, postawiony z niewypalonej cegły.

Od strony północnej wznosi się obszerny, jednopiętrowy budynek; jest to pawilon szacha, który wraz ze swoim haremem i licznym dworem zwykł uczestniczyć w wyścigach; naprzeciw pawilonu królewskiego mieści się estrada dla sędziów.

Do koła pustka, jak daleko oko sięgnie; ani jednego drzewa, ani jednego krzaka, któryby cień rzucał na spieczoną ziemię.

W tym roku pogoda dopisała; wiecznie uśmiechnięte niebo Iranu przystroiło się w najpiękniejszy lazur, słońce dopiekało tylko swoim zwyczajem zanadto.

Od samego rana droga wiodąca do hippodromu roiła się tłumem przechodniów pieszych i konnych; widziałeś tu kawalerzystów wszelkiego rodzaju, śpieszących na wierzchowcach, osłach i wielbłądach, niekiedy dwóch jeźdźców na jednym rumaku.

Wszystko to dążyło na plac wyścigów, aby sobie wcześniej jak najwygodniejsze miejsce wyszukać poza murowanem ogrodzeniem.

Jakkolwiek wszędzie widzów zebrało się sporo, największy wszelako tłok był około pawilonu królewskiego; lud prosty ciśnie się zawsze ciekawy obaczyć swojego władzcę.

Zresztą w tem miejscu odbywać się miały najważniejsze epizody wyścigów.

Po obu stronach loży szacha wznosiły się mniejsze i większe namioty rozmaitych dostojników dworu.

Misja austrjacka wyjątkowo otrzymała pomieszczenie w głównym budynku, gdzie znajomi konsula i bawiących w Teherenie oficerów podejmowani byli sutem śniadaniem; kto się wybrał na czczo, musiał o głodzie wytrwać do końca widowiska, bo w hippodromie na wagę złota nie byłby dostał nigdzie zakąski.

W dawniejszych latach całe ciało dyplomatyczne bywało urzędownie zapraszane na tę uroczystość ludową i miało osobny namiot przeznaczony dla siebie; ale pewnego razu podobało się damom z królewskiego haremu zasiąść wbrew etykiecie i grzeczności miejsca ofiarowane zagranicznym dyplomatom, a ci przybywszy do hippodromu musieli odejść z niczem i pozbawić się widoku perskich wyścigów.

Od tego czasu ciało dyplomatyczne demonstruje swą nieobecnością, a rząd nie rozsela więcej zaproszeń, uważając *status quo* za rzecz postanowioną...

Przyjazd szacha zapowiedziany był tym razem na godzinę jedenastą; wprawdzie punktualność nie jest jego przymiotem, jak w ogóle na wschodzie, gdzie niejako etykieta wymaga aby wielcy dygnitarze na siebie czekać kazali i to względnie do swojej rangi; na szczęście, ludzie bywają tu cierpliwi i oczekują z poddaniem się losowi, bez szemrania i oburzenia przybycia dostojnych gości.

Zdarza się często, że zaproszony na obiad dygnitarz perski przyjeżdża w półtorej godziny później niż należało i z uśmiechem wewnętrznego zadowolenia wchodzi do domu, gdzie na niego liczne towarzystwo oczekiwało — z zaostrzonem apetytem.

To nic — szyk perski pozwala na takie niegrzeczności.

W tym roku wszelako J. M. Nasr-ed-din nadzwyczaj punktualnie stawił się na miejscu; być może, iż przyczynił się do tego wyrok nadwornych astrologów, którzy orzekli, że godzina 11. będzie szczęśliwą do rozpoczęcia wyścigów.

Wystrzały z dział oznajmiły miastu, iż władca Persji raczył wsiąść do przepysznej karety oszklonej, sprowadzonej umyślnie z Wiednia, a zaprzężonej w cztery pary ogierów arabskich.

Liczne grono oficerów oczekiwało szacha przy wejściu do pawilonu; konwój zbrojny towarzyszył karocy królewskiej, przed którą postępowała muzyka wojskowa na wielbłądach przystrojonych we wstążki i szklanne paciorki.

Oryginalna to kapela pod każdym względem, ale cywilizowane uszy europejczyka długo znieśćby nie zdołały piekielnego pisku i gwizdu cienkich fletni i piszczałek, które z odgłosem bębenków tworzą istną kocią muzykę.

Estrada sędziów tymczasem zapełniła się powoli.

Do komitetu *jury* należą zazwyczaj członkowie ministerjum skarbu, jako też nadworni poeci szacha, którzy mają obowiązek w wdzięcznych rymach przekazywać potomności wiekopomne czyny władcy Iranu.

Pierwsi występują przy tej sposobności w galowych mundurach, bogato szychem przetykanych, z wszystkiemi orderami na piersiach; drudzy zaś w długich fałdzistych sutannach z drogocennego kaszmiru i w wysokich pstrych turbanach na głowie.

Panowie poeci noszą obowiązkowo długie, czernione brody i starają się zachować minę i gesta jak najpoważniejsze, aby swej godności i wysokiemu posłannictwu nie ubliżyć.

Zbliżenie się króla z najmłodszym synem, oraz całego świetnego pocztu dygnitarzy państwa poruszyło tysiączny tłum; wszyscy radziby byli obaczyć choć koniuszek kołpaka swojego monarchy, który jak wiadomo nosi tytuł „syna słońca“.

Dla zrobienia porządku i utorowania drogi wśród tłumu, cisnącego się dotychczas swobodnie po całym hippodromie, mistrz ceremonji wysłał kilkunastu *ferraszów*, czyli pachołków z długiemi, elastycznemi prętami.

Kto nie ustąpił z drogi, sam sobie był winien że mu na grzbiecie wystąpiła sina pręga, którą jako upominek z wyścigów miał potem może przez kilka dni pod kaftanem.

Podczas gdy szach ze swoją świtą zajmował miejsca w pawilonie, trzy orkiestry naprzeciw loży królewskiej, w niedalekiej od siebie odległości ustawione; zaczęły wcale oryginalny koncert; każda bowiem z nadwornych kapeli zaczęła grać jednocześnie, ale inny utwór, co sprawiało rozdzierającą uszy kakofonję, publiczność wszelako słuchała tego obojętnie i wcale protestować nie myślała.

Konie wypuszczane na tor są zazwyczaj własnością szacha, książąt dworu, jakoteż znakomitszych Persów i odznaczają się siłą, budową, szlachetną rasą i pochodzeniem z głośniejszych stadnin.

Funkcje dżokiejów wykonują chłopcy od 12 do 15 lat wieku; ubiór ich składa się z wełnianej koszuli, szerokich szarawarów, wysokich butów i okrągłej filcowej czapki, lub fezu przewiązanego przez czoło na tył głowy chustką.

Kolor spodni oznacza właściciela konia — i tak np. dżokieje szacha nosili rajtuzy czerwone, księcia namiestnika zielone i t. d.

Krój i czystość tych liberyj pozostawiał wszelako wiele do życzenia, a niejeden kozaczek magnackiego dworu przedstawiłby się w porównaniu z takim królewskim dżokiejem prześlicznie wyekwipowany.

Konie wyścigowe przez kilka miesięcy naprzód są tresowane, a w dniu popisu muszą złożyć dowody takiej wytrzymałości, że niejeden europejski zwycięzca na naszych torach, nie dorównałby im w tym względzie.

Całe wyścigi składają się z pięciu biegów, w których od 6 do 12 koni udział brało.

W pierwszym biegu trzeba było sześć razy okrążyć całą arenę, czyli przebyć 12 mil angielskich, za drugim razem 5, za trzecim 4, za czwartym 3, a za piątym 2.

Siodła pół europejskie a pół azjatyckie wyglądały podobnie jak jeźdźcy dość opuszczone i zaniedbane.

Konie miały ogony zaplecione; przed rozpoczęciem wyścigów oblewano wierzchowców kilkakrotnie zimną wodą.

Trąbka dała hasło rozpoczęcia gonitwy.

Między pawilonem królewskim a trybuną sędziów wyciągnięto linę, przed którą po kolei zajeżdżali dżokeje.

Poeci poważnie i zwolna, każdy z kartką papieru w ręku — zbliżali się do jeźdźców i zapisywali „ku wiecznej tej rzeczy pamiątce“ ich nazwiska.

Na ziemi przy jednym końcu liny leżało pięć worków z pieniędzmi.

Premja wynosiły: 1,500, 1,000, 500, 250 i 100 franków.

Na dany znak lina opadła i konie ruszyły z kopyta, pozostawiając za sobą gęste tumany kurzu.

W Persji nie ma zwyczaju wchodzić w zakłady o przypuszczalnych zwycięzców na torze, chociażby z tego względu, że trudnoby było wygraną sumę wyegzekwować od przegrywającego.

Bieg sam nie wiele interesuje widzów i króla; dla rozrywki w tym czasie popisują się tancerze na osobnej estradzie, po lewej stronie od sędziów.

Przy odgłosie muzyki, zdolnej porozrywać bębenki w uszach słuchaczy, żydowskie chłopaki odgrywają pantomimy o tyle bezsensowne o ile nieprzyzwoite.

Tańce polegają na lubieżnych, rozmaitniejących pozach i ruchach, które w porównaniu nawet z całą wyuzdaną swobodą paryskiego kankana w najgorszym gatunku, jeszcze wstrętniejsze i obydniejsze sprawiają wrażenie.

Dziewczęta nie biorą udziału w pantomimach, tylko chłopcy poprzebierani w kobiece suknie.

Klasa takich baletników publicznych w Persji jest bardziej wzgardzoną, aniżeli wszetecznic, kupczących swojemi wdziękami.

Po sześciu minutach jeźdźcy w dosyć zbitym szeregu przegalopowali po raz pierwszy przed trybuną sędziów.

Pantomima zaś trwała ciągle, coraz większe budząc zajęcie w loży królewskiej, a szczególniej pomiędzy damami haremu, które roziskrzonem okiem patrzały więcej na tancerzy, aniżeli na jeźdźców, pędzących po arenie z szybkością wiatru.

Po 34 minutach wreszcie zziajany, spieniony, dobywając wszystkich sił, wpadł pierwszy zwycięzca po przed lożę królewską, przyjęty entuzjastycznemi okrzykami widzów: za nim w mniejszych lub większych odstępach zjechali się jego towarzysze.

Sędziowie notowali przybyłych w kolejnym porządku, ustawiali ich potem przed estradą i obdarzali pierwszych pięciu nagrodą; każdy brał przeznaczony dla siebie worek z pieniędzmi na głowę i odchodził za koniem w głąb areny.

Zdarzało się poprzednich lat, że ten forsowny bieg wykonywano w krótszym terminie, bo w 27 i 30 minutach.

Zaledwie rozdano nagrody, bez straty czasu szykowano się natychmiast do drugiego biegu w tym samym co pierwej porządku.

Obok rączości koni niemniej podziwienia godną jest wytrzymałość malców, którzy bardzo często pięć razy z rzędu dosiadają wierzchowców i w przeciągu dwóch godzin odkładają 40 mil ang. bez zbytniego znużenia i wysiłku.

Po skończonych wyścigach szach odbył jeszcze rewję wojsk pod hippodromem; na szczególniejszą pochwałę zasłużył korpus zorganizowany i musztrowany przez austrjackich oficerów, sprowadzonych umyślnie w tym celu z Wiednia.

Dokazali oni w krótkim przeciągu czasu prawdziwego cudu, bo zaprowadzili niebywałą w armji perskiej karność, szybkość obrotów, dokładność i wprawę w robieniu bronią, słowem, nowego ducha tchnęli w wojsko Nasr-ed-dina, który też nachwalić się nie może austrjackich instruktorów.

Treść Nr. 27.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.